

WIEDZA POWSZECHNA
WYDAWNICTWO POPULARNO-NAUKOWE

K A Z I M I E R Z K O N A R S K I

KONRAD PRÓSZYŃSKI
(KAZIMIERZ PROMYK)

Z CYKLU:

**POLSCY
DZIAŁACZE
SPOŁECZNI
I
OŚWIATOWI**

VI

ZESZYT

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEZONE



REDAKTOR STANISŁAW TAZBIR
REDAKTOR DZIAŁU HELENA GROTOŃSKA

Listopad 1948

20'000

Druk. Nr 4 Spółdz. Wyd. Ośw. „Czytelnik”, Łódź, żwirki 2

KAZIMIERZ KONARSKI (Warszawa)

KONRAD PRÓSZYŃSKI (KAZIMIERZ PROMYK)

MŁODOŚĆ

Dwa mieliśmy w XIX wieku wielkie powstania, dwie wielkie klęski, dwie straszliwe po nich, beznadziejne, zdawało się, noce. Jest dowodem dużej prężności narodu polskiego, że w obu tych nocach nie czekaliśmy bezradnie świtu, ale próbowaliśmy zaraz rozniecić go sami. Czasem, jak Zaliwski *, po staremu, karabinem czy szablą, czasem nową, nieznaną jeszcze w Polsce, acz może skuteczniejszą bronią — elementarzem.

Każda klęska powstańcza otwierała narodowi oczy na tę pełną goryczy prawdę, że powstania nasze upadają dlatego, że brakło w nich szerszego udziału ludu. A jakże ten lud miał się o Polskę upomnieć, kiedy wgnieciony w ziemię tej swojej Polski nie widział, nie słyszał, nie czuł? Żeby nie umrzeć starczy człowiekowi kawałek chleba, ale na to, żeby żyć, żeby widzieć, słyszeć i czuć — potrzeba mu choć odrobiny, choć promyka światła. Tym promykiem światła w czarnej chłopskiej doli stał się w Polsce w głuchą postyczniową noc Konrad Prószyński.

Ród z dawien dawna, od czasów króla Jana Kazimierza osiadły na głębokiej Litwie, kresowy, twardy. Na wozie i pod wozem, jak to na kresach często bywało. Tradycje powstańcze w rodzinie niejednolite. „W roku 1831 — pisze o tym szczerze i odważnie sam Konrad w skreślonym przez siebie własnym życiorysie — dziad, dość jeszcze młody, został w domu na gospodarstwie, gdy... teść jego, już starzec, major wojsk Księstwa Litewskiego, poszedł do powstania i poległ w Wilejce broniąc nieprzyjacielowi przeprawy przez Wilię“. Wnuk jego, a ojciec Konrada, Antoni Prószyński, „był przenikniony

*. Objasnienia podane są na końcu zeszytu.

duchem tych wspomnień, w młodzieńczych zaś latach (1846—48) przejął się zasadami mocno radykalnymi“. Wskutek małżeństwa z ubogą dziewczyną, Pelagią Kułakówną, nastąpiło nawet chwilowe zerwanie z rodziną i wyjazd ojca Konrada do Mińska na własny, samodzielny, ale ciężki i niestały chleb.

Tam też w Mińsku dnia 19 lutego 1851 r. urodził się Konrad, jako najstarszy syn. Wieść o narodzeniu wnuka stała się pomostem zgody w zwaśnionej rodzinie; stosunki z dziadkami zostały nawiązane i małe długie miesiące spędzał u nich na wsi. Ojciec jednak na wieś nie wrócił i w dalszym ciągu utrzymywał się w Mińsku własną pracą. Niedługo już tego było zresztą.

Szły czasy gorące. Już podczas wojny krymskiej pojawiły się na Litwie pierwsze rewolucyjne fermenty. Pan Antoni przyłgnał do nich od razu, co też niebawem odpokutował półrocznym więzieniem w Bobrujsku.

„Już pamiętam nieźle te czasy — pisał w 40 lat później Konrad — a szczególnie żandarmów w domu, płacz matki, rewizje, śledztwo. wywiezienie ojca ... Miałem wtedy lat 5“.

Niebawem przyszedł okres jeszcze gorętszy. Biali — czerwoni — gorące spory — przygotowania powstańcze — zbrojenia — wreszcie wybuch.

Konrad ma już wtedy 11 czy 12 lat i zaczyna się już po trochu orientować w tym, co się dzieje. — „Paliło się i w mej dziecinnej głowie, ale pamiętam dobrze słowa matki mojej nieraz wypowiedane do ojca: „Zgubę gotujecie, bo lud z wami nie pójdzie, lud przeciw wam będzie, a bez ludu nic zrobić nie można“.

Ojciec, uwięziony jeszcze przed wybuchem powstania na Litwie, niebawem zostaje zesłany na Sybir. W rok później matka, zabrawszy dzieci, ruszyła w ślad za mężem. Chłopięce lata Konrada upływają tedy na Syberii. Pomaga ojcu w pracy zarobkowej, trochę się uczy historii Grecji, fizyki. „Studiowałem mapy kraju naszego — pisze — szczególnie wód, pływałem, jeździłem konno, czytałem, co się nadarzyło, a między innymi Mickiewicza i zapewne z tego powodu zacząłem wiersze pisać. Głowa była pełna marzeń i planów na przyszłość“.

Z dziecka wyrastał chłopiec. Przychodzi pierwsza miłość i pierwsze na wpół dziecinne jeszcze marzenia o wyzwoleniu kraju.

Żre go tęsknota. Na skutek wieści o zmianach w Austrii, która w r. 1867 przyznała swoim krajom, a więc i Galicji, dość szeroką

autonomię, postanowił wracać, „wyrwać się choćby przemocą... wstąpić gdzieś do jakichś legionów, zaprawić się w rzemiośle wojennym“. Stara polska piosenka. Obawiając się, że rodzice planu tego nie zatwierdzą, przygotowuje go w tajemnicy, gromadzi środki na podróż. Sekret się wydał; ojciec, wbrew obawom, zgodził się na projekt powrotu do kraju i dopomógł chłopcu wykonać plan.

Odwiedziwszy Litwę, przybył Konrad w jesieni 1868 r. do Warszawy. Na wstępie zaraz czeka go szereg zawodów i rozczarowań. Szkoła Główna, do której chciał się dostać na wolnego słuchacza, odmawia mu przyjęcia; w młodzieży ówczesnej Warszawy nie może doszukać się zapału, entuzjazmu, którym sam płonie; pracy znaleźć nie umie; środki jego kurczą się rozpaczliwie z tygodnia na tydzień. Szarpie się, wyjeżdża do Krakowa, ale autonomia oglądana z bliska wygląda mniej ponętnie, o wojnie nikt nie myśli, policja go nęka, w kieszeni ma już tylko pięć reńskich.

W redakcji czasopisma „Kalina“ trafił wreszcie na człowieka, który zbiedzonego, zbłąkanego chłopca przygarnął, przyjął dobrym słowem i nie odmówił życzliwej rady. Rada ta brzmiała: „Z kraju nie wyjeżdżać — Konrad miał w projekcie zaciągnięcie się do wojsk węgierskich — bo kraj ludzi potrzebuje i pracy do wykonania jest bezmiar“.

„Kwadrans rozmowy w redakcji był — jak pisze Konrad — rozcięciem węzła gordyjskiego“. Przekrada się z powrotem przez granicę i wraca po ośmiu dniach nieobecności do Warszawy, na szczęście jeszcze w porę, by nie obudzić czujności warszawskiej policji. Wraca z planem skryształizowanym: uczyć się, by móc potem uczyć innych. Do wykonania tego planu zabrał się z całym litewskim uporem.

O zdobywaniu środków utrzymania pisze tak: „Podejmowałem się uczyć dzieci za dwa ruble miesięcznie, po godzinie co dzień, bo żadnego innego zarobku znaleźć nie mogłem i żyłem wyłącznie chlebem i wodą“. Równocześnie uczy się sam uzupełniając braki w posiadanych wiadomościach; braki te były bardzo duże, po części dzięki fatalnemu doborowi pierwszych nauczycieli, po części dzięki wspomnianemu już zesłaniu ojca i wyjazdowi w ślad za nim na Syberię, który na dłuższy czas uniemożliwił mu wszelką naukę.

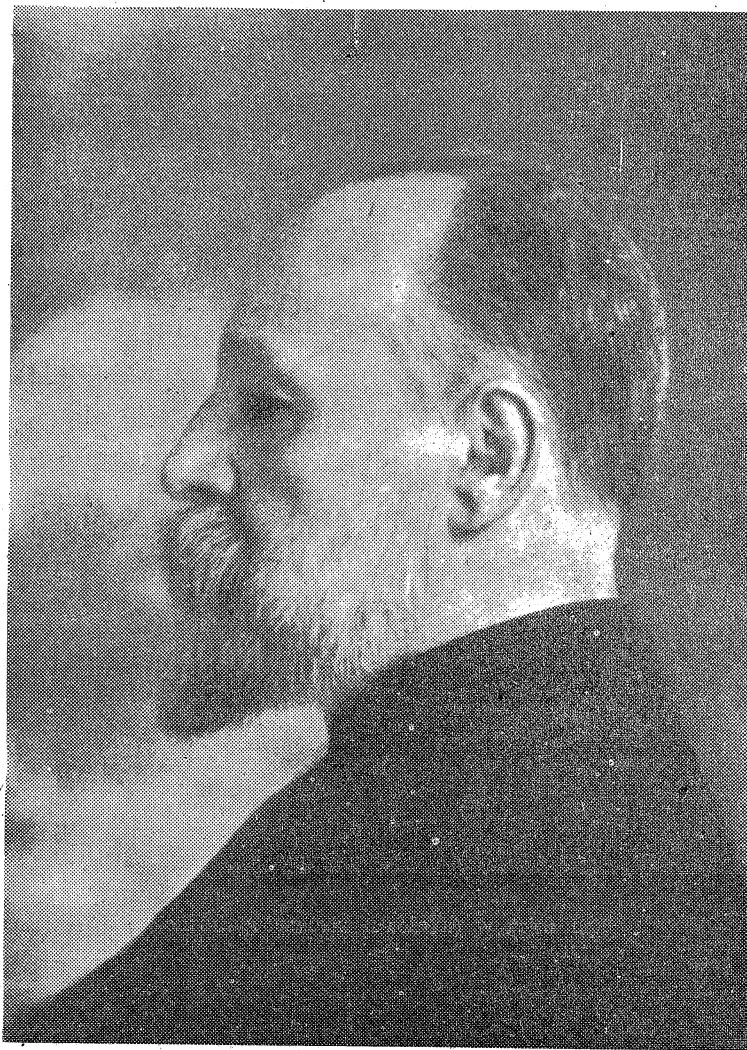
Zdobywszy książki zabrał się do nauki i po dwóch latach samouctwa zdał maturę. Długo upragnione studia wyższe stanęły przed nim otworem. Niestety nie w Szkole Głównej, bo tę świeżo zamknię-

to, tylko w otwartym na jej miejsce rosyjskim uniwersytecie. Zapiisał się na wydział prawny.

„Nauka prawa, czytamy w jego wspomnieniach, była dla mnie rzeczą uboczną. Za główną uważałem stosunki z kolegami i inną młodzieżą i przyciągnięcie wielu do wspólnej a podzielonej pracy. Szło jednak bardzo ciężko, wybór był trudny, a i brak czasu ponieważ stawał na przeszkodzie, bo praca na chleb przy bardzo skromnym wynagrodzeniu pochłaniała mi zwykle całe popołudnie do późnego wieczora. Przy tym przyszło mi do głowy opracować podręczniki dla ułatwienia nauki dzieciom. Ułożyłem pierwszy podręcznik do geografii. Gdy jednak o nakładcę było trudno, w cenzurze napotkałem przeszkody, a zaczął się ukazywać systematyczny kurs nauk Jeskego, wstrzymałem się z pracą nad podręcznikami.

„Głównych mych starań wynik był tylko ten, że 1. zebrał się wśród kolegów fundusik jubileuszowy Kopernika, który większość zgłasowała przeznaczyć na wydawnictwa naukowe tłumaczone; 2. powstało pierwsze kółko wioślarskie; 3. urządziliśmy pierwszą, jak się zdaje, pieszą wakacyjną wędrowkę po kraju (pierwszą przynajmniej studentów warszawskich z nowszej epoki); 4. zebrano sto rubli na wydanie książek o Staszicu; 5. z wybranych najlepszych i ściśle skrepowanych słowem na milczenie jednostek utworzyliśmy kółko szerzenia oświaty“.

Kółko to — głęboko zakonspirowana grupa — zwie się T.O.N., czyli Towarzystwo Oświaty Narodowej. Zachowały się jego statuty, regulaminy, sprawozdania. Twórcą i duszą Towarzystwa jest Prószczyński, już wtedy występujący pod pseudonimem Promyka. Wyraźnej wzmianki o tym nie ma, ale sam Konrad pisze, że kółko jego wśród kolegów miało nazwę „Promykowiczów“. Listę członków trzymaną w głębokiej tajemnicy odtworzyć dziś trudno. Należeli tam zdaje się bracia Pławińscy, Józef i Kazimierz, obaj znani niebawem rewolucjoniści, współtwórcy pierwszego w Polsce Koła Socjalistów Polskich; dalej Stanisław Witkiewicz, od dzieciennych lat serdeczny przyjaciel Promyka, towarzysz powrotnej jego drogi z Syberii, z czasem wybitny literat i artysta malarz; dalej Antoni Puławski, lekarz i działacz oświatowy. Z młodszych należał pewno Bolesław Hirszfeld, znany później działacz społeczny, naówczas dorastający chłopak. Nie ma go na fotografii zbiorowej (por. str. 9), która być może była fotografią członków T.O.N., tym bardziej, że



Konrad Prószyński (Promyk) w roku 1906

zdjęta była w mieszkaniu Puławskiego przed dzwonnica „Bernardyńska“, gdzie odbywały się posiedzenia Towarzystwa.

T.O.N. istniało zaledwie rok czy dwa (lata 1875 — 6). Przyczyną rozbicia były spory polityczne. Konrad skarży się w swym życiorysie na rozpolitykowanie młodzieży. Są to lata pierwszych podmuchów socjalizmu opanowującego w tym czasie wszechnice rosyjskie. Studiująca tam licznie młodzież polska nasiąka tymi wpływami i próbuje po powrocie zaszczerpić je w kraju. Promyk, ze swoim apolitycznym, czyli bezpartyjnym programem pracy, nie tylko nie ulega tym wpływom, ale próbuje je zwalczać. Wynika stąd szereg bardzo ciężkich dla niego starć z najbliższymi mu ludźmi.

Stracił na te spory dużo czasu, energii i serca, poniósł klęskę, bo opuścili go najbliżsi towarzysze pracy. Nie ugiął się jednak i nie zdradził swego umiłowanego nad wszystko celu. Do końca życia już będzie szedł samotny.

„Pracował sam — napisze o nim kiedyś w nekrologu Antoni Potocki — nie żeby nie było obok rówieśników ku tymże ideałom idących, ale że ludzie jedynej myśli lubią być sami“.

Osiadłą dla Promyka w tych jego przejściach i zawodach było niewątpliwie powodzenie broszurki jego o Staszicu. Napisał ją Promyk chcąc dać wizerunek człowieka, który wyszedłszy o własnych siłach z nizin społecznych, został wybitnym uczonym, wysokim dygnitarzem państwowym, dobroczyńcą ubogich, a przede wszystkim był wzorowym pod każdym względem obywatelem. Dzięki uzbięranemu funduszowi studenckiemu i pożyczce osób życzliwych wydano tę broszurę w nakładzie 5 000 egzemplarzy. Puszczono ją w świat dnia 1 lutego 1875 r., a 5 marca tego roku nie było już na składzie ani jednego egzemplarza. W tymże marcu przystąpiono do drugiego wydania w olbrzymim jak na owe czasy nakładzie 15 000 egz. I ten nakład rozszedł się bardzo szybko.

Jak na pierwsze kroki początkującego pisarza powodzenie było oszałamiające.

NAJLEPSZY ELEMENTARZ ŚWIATA

„W roku 1874, czytamy we wspomnieniach Promyka, korzystając z pobytu na wsi namalowałem na ścianie jednego budynku, widocznej dla przechodzących z daleka, główne początki do nauki czytania, aby wszyscy mieli je przed oczyma i uczyli się jedni od drugich. To było początkiem elementarza ściennego, który następnie w tymże roku ułożyłem i wydałem, aby wszystkie wioski zaopatrzyć

się w niego mogły... Elementarz ścienny okazał się niedogodnym do rozsyłania przez pocztę; przy tym nie można było w nim rozwinąć całej nauki czytania i ułatwić jej nalezycie, więc obmyśliłem i wydałem wkrótce „Elementarz, na którym nauczysz czytać w 5 lub w 8 tygodni“.

Takie były początki. Pierwszy nakład elementarza w 10 000 egz. ukazał się w grudniu 1875 r. Ryzyko wydawało się duże. Nieufność publiczności wobec nowej i niewypróbowanej jeszcze metody, niechętnie stanowisko księgarzy, z których każdy miał jakiś elementarz specjalnie przez siebie polecany, obojętność prasy, która pominęła książkę zupełnym milczeniem, wszystko to nie wróżyło powodzenia dziełu młodego autora. Wszelkie obawy okazały się płonne. Nakład rozszedł się w ciągu czterech miesięcy. Promyk niezwłocznie porywa się na większe jeszcze szaleństwo i jeszcze tej samej wiosny wydaje drugi, podwójny nakład. Walczy z trudnościami pieniężnymi. W krytycznym momencie ratuje wydawnictwo pożyczka 264 rubli zaciągnięta u zamożnego sympatyka*. Książeczka rozchodzi się znów niesłychanie szybko, czemu niewątpliwie sprzyja niebywale nisko obrachowana jej cena, w detalicznej sprzedaży wynosząca 7 groszy (3½ kop.). Cena ta nawiasem mówiąc przez dziesiątki lat nie ulega zmianom.

Puszczenie w świat kilkudziesięciu tysięcy elementarzy wywołało niebawem potrzebę nowych wydawnictw. Nowym czytelnikom trzeba było dostarczyć materiału do czytania. W grudniu 1876 r. wychodzi więc „Pierwsza książeczka dla wprawy w czytaniu“ w 5 000 egz. Nakład został wyczerpany jeszcze przed końcem zimy. W tymże roku (1877) wychodzą drugie i trzecie wydania „Pierwszej książeczki“ oraz „Prawdziwe opowiadania, czyli druga książeczka“.

I tak niemal miesiąc po miesiącu płyną teraz w szeroki polski świat w coraz większych nakładach wydania bądź rzeczy nowych, bądź wznowienia wczorajszych, a już wyczerpanych. Działalność ta pochłania olbrzymie ilości pracy autora, zatruta jest nieustannymi kłopotami finansowymi, nagradza ją wszakże hojnie niezmiernie

* Nazwiska owego sympatyka nie udało się ustalić z całą pewnością. Tradycja ustna (Stefan Brzeziński, Maksymilian Miłgaj Malinowski oraz rodzina) wspomina tu dwa nazwiska. Prof. Hermana Benniego, językoznawcę, i prof. Ignacego Baranowskiego, doktora medycyny (oba bardzo czynni społecznie w drugiej połowie w. XIX w Warszawie). Józef Dąbrowski (Grabiec) w pracy swej pt. „Czerwona Warszawa“ wspomina o d-rze Edwardzie Kornilowiczu, o którym skądinąd wiadomo, że był jednym z pierwszych i bardzo bliskich przyjaciół Promyka.

krzepiące poczucie powodzenia w pracy i użyteczności społecznej dokonanego wysiłku.

Kłopoty finansowe mimo tak kolosalnych obrotów wynikały stąd, że Promyk nie posiadając własnej księgarni skazany był na pośrednictwo księgarzy, u których tonął cały zysk sprzedażny. Sytuacja zmienia się nieco w roku 1878, kiedy Prószyński zakłada własną księgarnię* i skupia w niej odtąd wszystkie swe nakłady.

W r. 1879 dochodzi do skutku najważniejsze wydawnictwo z serii elementarzy — „Obrazkowa nauka pisania i czytania“ oraz „Elementarz dla samouków“. Dotychczasowe elementarze Promyka przeznaczone były dla tych dzieci czy dorosłych, których ktoś uczył. Teraz dawał on w rękę książkę tym, którzy sami bez nauczyciela chcieli nauczyć się czytać. Takich były nowe rzesze. Nie trzeba długiego namysłu, by zdać sobie sprawę z tego, jak bardzo nowa książeczka rozszerzała pole walki z ciemnotą, jak bardzo przyspieszyła zwycięstwo nad nią.

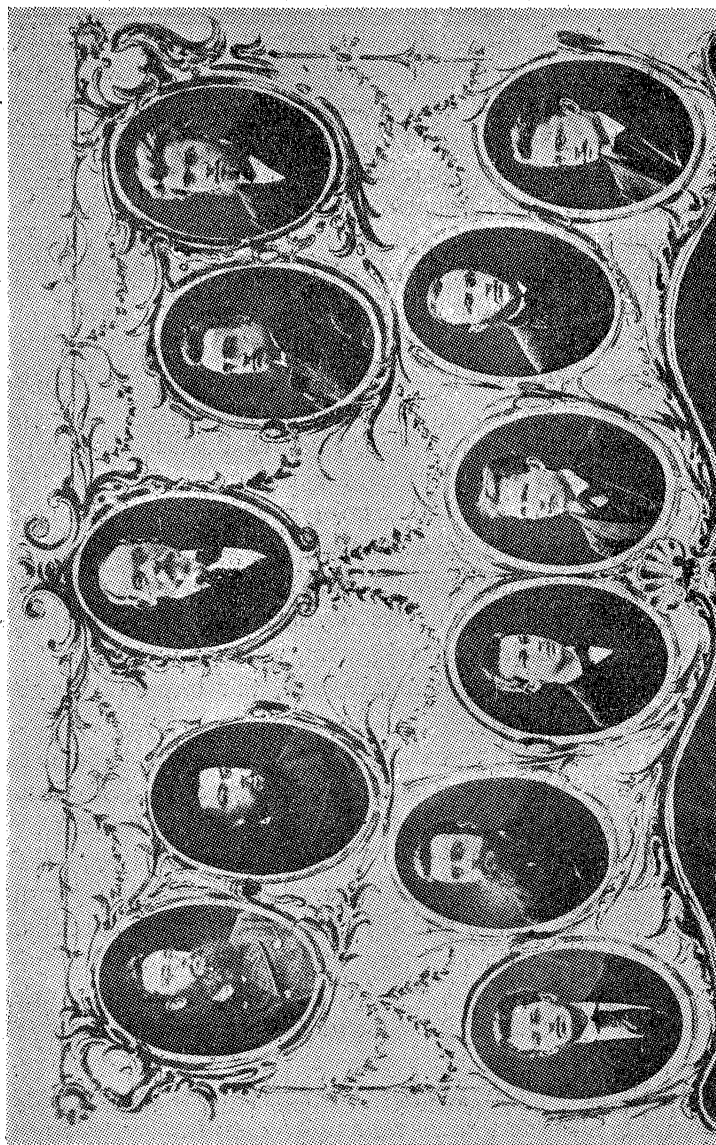
Na czymże tedy polegała wyższość Promykowego elementarza? Dlaczego w ciągu paru lat wyparł on wszystkie inne książki tego rodzaju osiągając w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku astronomiczną, jak na wydawnicze stosunki polskie, łączną cyfrę miliona odbitek. Co było powodem tak piorunującego zwycięstwa?

Dotychczasowe metody nauki czytania opierały się na zasadzie pamięciowości. Dziecko musiało „wykuć“ na pamięć nazwy wszystkich liter, po czym zaczynało się sylabizowanie: **be a — ba, be a — ba — baba**. Z babą był jeszcze mniejszy kłopot, ale przesylabizuj tu, biedny mały uczniu, słowo „człowiek“. **Ce, zet, eł o — czło, wu i e ka — wiek — człowiek**. Jakaż ta pierwsza sylaba straszliwie trudna do rozgryzienia! Dlaczego druga ma się czytać **w i e k**, kiedy tam jest wyraźnie jakiś **w u j e k**?

Była to sieć, w której grzęzły najlotniejsze główiny dziecięce. A mniej lotne...? Hej! Ile łez dziecięcych oblało tę straszną naukę, o tym dzisiejsze pokolenie nie ma najmniejszego pojęcia.

Promyk w dzieciennych latach sam przeszedł przez tortury sylabizowania i zapamiętał je tak dobrze, że jeszcze po kilkudziesięciu latach wspomina o tym w swoim pamiętniku. W ten sposób uczono go czytać, w ten sam sposób później wkuwano mu w głowę nazwy geograficzne. Zniechęcił się wtedy do nauki, zniechęcił się do geografii,

* Najprzód przy ul. Bednarskiej, potem przy Nowym Świecie.



Fotografia zbiorowa pod dwornicą „Bernardyńską” w r. 1875

U góry od lewej: Józef Pławiński, Stanisław Witkiewicz — artysta malarz, Czajkowski — uczestnik powstania 1830 r., „czwartak”, Konrad Prószyński, Stanisław Królikowski — weterynarz, U dołu od lewej: Stanisław Pryfer (Prüfer) — weterynarz, Władysław Rębalski — weterynarz, Kazimierz Pławiński, Leon Poptawski — weterynarz, Lucjan Kreczmar, dr Arkadiusz Antoni Puławski

którą dopiero później nauczył się cenić i kochać. Już z owych dzieciennych lat wyniósł nienawiść do wszelkiej pamięciowej nauki i teraz w swoim Elementarzu wypowiedział jej zdecydowaną walkę.

Elementarz zaczynał się od pięciu rysunków ust w rozmaity sposób rozwartych. Przy każdym rysunku była podana litera, oznaczająca samogłoskę odpowiadającą danemu układowi ust. Dziecko układając usta w ten sposób, co na rysunku, wydawało dźwięk odpowiadający danej literze i w ten sposób uczyło się rozpoznawać litery samogłosek. Teraz kolejno następowały połączenia tych samogłosek z coraz to innymi spółgłoskami, oparte o rysunki, jak ul, oko itd. Przez porównanie litery **u** ze słowem **ul** dziecko odgadywało przy pomocy rysunku brzmienie litery **l**. Dalej następowało pytanie „ile uli“, albo przy słowie **ule** stał znak: 2 ule, albo 3 ule, wyjaśniony wszędzie odnośnymi rysunkami przedstawiającymi stojące koło siebie dwa albo trzy ule.

Zamiast wkuwania mamy tu szereg zagadek dostosowanych poziomem do umysłu dziecka. Po zagadce z ulem przychodziła inna z osą i w ten sposób w stopniowym, powolnym rozwoju dziecko samo opanowywało wszelkie trudności czytania.

Samodzielne rozwiązanie zagadki jest dla myślącego dziecka źródłem wielkiej uciechy; toteż nauka czytania oparta na Elementarzu Promyka stała się zajęciem ciekawym, pełnym wzruszeń. Tak jak przedtem była jednym pasmem udręczeń, tak teraz mogła dać dziecku wiele szczerzej radości.

Pomysłowość Promyka wprowadzała uproszczenia, gdzie się tylko dało. Wiadomo, jak trudne dla umysłu dziecka są złączenia liter **sz**, **cz**, **rz**, **dz** itd. Promyk czyni z nich nowe litery alfabetu wymawiane łącznym dźwiękiem **ś** i **ć** itd. Wprowadził nawet tę nowość do wszystkich drukowanych przez siebie wydawnictw używając dla tych głosek specjalnie odlanych podwójnych czcionek. Nie spodobało się to warszawskiej „Prawdzie“, która zaatakowała o to Promyka wywołując żywą jego odpowiedź, a potem spór „Prawdy“ z „Kurierem Porannym“, który wystąpił w obronie tej drukarskiej nowości.

Na ogół jednak prasa bardzo rzadko zabiera głos w sprawach oświaty i elementarza. W zachowanej po Promyku spuściznie znajduje się gromadzony skrzętnie zbiór wycinków z gazet. Czytanie tego materiału niewiele daje. Pisma piszą o oświacie mimochodem, aby zbyć, nie wdając się w głębsze naświetlenie sprawy. Czasem czepią się jakiegoś szczegółu, jak „Prawda“ owych podwójnych liter, naj-

częściej ograniczają się do ciepłej ale ogólnikowej pochwały dla wydawnictw Promyka. Czasem tylko zdarzy się korespondencja prowincjonalna, w której trafić można na gorętsze zainteresowanie się sprawą elementarnego nauczania i jego reformy.

Prosto, zwięźle, a barwnie opisuje losy polskiego nauczania w r. 1883 nauczyciel ludowy w Łomżyńskim, p. Feliks Janeczko. „Rezultaty — pisze on — osiągnięte przeze mnie (z elementarzem Promyka) są nader zadawalniające. Z nowicjuszami zazwyczaj w ciągu zimy przechodzę cały elementarz. Może taki czas za długi się wyda niejednemu? Lecz zima w szkole elementarnej jest to czas nadzwyczaj ograniczony, dzieci zwykle zaczynają uczęszczać do szkoły w początkach grudnia, a opuszczają w końcu marca; wytrąciwszy z owego periodu czasu Święta Bożego Narodzenia, zapusty, niedziele, galówki itp. dni, cała zima da się przedstawić w liczbie 60 — 70 dni. Wziąwszy na uwagę, że jednocześnie nauczyciel prowadzi takąż naukę języka ruskiego i że lekcje języka polskiego codziennie odbywać się nie mogą, liczba lekcji polskich w ciągu zimy wyniesie zaledwie 30 — 35. Otóż żadne inne wydawnictwo przy takiej krótkości czasu nie przyniesie żądanej korzyści, jak wydawnictwa Promyka, odznaczające się... skróconą objętością wszystkiego w zakres początków nauki czytania wchodzącego...

„Dziecko wiejskie wstępujące do szkoły wynosi z domu nadzwyczaj skąpe pojęcie o rzeczach i przedmiotach, aby więc rozpocząć z nim naukę jakąkolwiek, trzeba go wpierw do tego przygotować, nie umie ono odpowiedzieć nawet na najprostsze zapytania, zaledwie może nazwać przedmioty, które mu się zdarzyło często widzieć w domu. Formując elementarz p. Promyk zwrócił zapewne uwagę na tę okoliczność i dlatego za materię słów wziął nazwy przedmiotów jak najdośćępniejszych pojęciu wiejskiego dziecka, następnie formując ze znanych dźwięków wyrazy układa je katechetycznie, dalej w podobny sposób z łatwych wyrazów i słów formuje krótkie zdania, które powoli, w miarę i stopniowo rozprzestrzenia... Tylko prostym i jasnym wykładem najciemniejsze umysły dają się pokonywać“ — kończy swe wywody p. Janeczko.

Duże zainteresowanie działalnością Promyka wykazało w r. 1882 „Echo Łomżyńskie“. W serii artykułów omawia tygodnik ten poszczególne jego wydawnictwa. Wzruszony tym przedziwnie żywym echem swej pracy Promyk napisał długi list z wyrazami wdzięczności za chęć „popierania wszystkiego, co ma służyć ku rozszerzeniu oświa-

ty". Sam list Promyka, będący gorącą obroną tej idei, a jednocześnie obroną zaczepionego w jednym z artykułów samouctwa, wydrukowało „Echo Łomżyńskie” jako artykuł zamykający ową serię.

Prawdziwego przyjaciela i sprzymierzeńca znalazł Promyk w prasie dopiero pod koniec życia w „Kurierze Polskim”.

Były to już zresztą inne czasy. Po ciężkiej nocy przychodzi świt rewolucji 1905 r. Przed skrzepowanym, duszonym przez dziesiątki lat zakazami cenzury Promykiem otworzyły się nagle nowe możliwości pracy. Niezmordowany, niewyczerpany w pomysłowości, gdy chodziło o nauczanie, podejmuje nowy wielki plan walki z ciemnotą, w której bronią miała być już nie książka, lecz żywe słowo.

„Dwustu ludzi — twierdzi — odpowiednio wyszkolonych może wszystkich lud w Królestwie Polskim nauczyć czytać i pisać w ciągu jednego półroczka”.

Miała to być jeszcze jedna odmiana Promykowego elementarza. Nie zadrukowana karta papieru, nie obrazek, ale płomień żywego słowa.

Rozlepione na murach Warszawy afisze zapowiadają, że 14 stycznia 1906 r. odbędzie się w wielkiej sali Muzeum Rolnictwa i Przemysłu magiczne przedstawienie, na którym Konrad Prószyński dawać będzie nowy pokaz nauki czytania i pisania.

Słowo „magiczne” podziało jak przynęta. Zebrało się około 700 osób, w tej liczbie z górą setka nie umiejących czytać. Spośród tych wybrano pięćdziesiąt takich, które nie znały ani jednej litery, i posadzono je na pierwszych ławkach. One też tylko miały prawo odzywać się, tj. odpowiadać na pytania. Każdy nie umiejący pisać miał przygotowany papier do pisania, ołówek i linijkę.

„Zamiast obrazków w książce — opisuje Promyk to zebranie — pokazywałem kolejno na tej lekcji podobne obrazy duże, barwne. Naukę prowadziłem nie mówiąc ani razu, jak się która litera czyta. Pokazywałem tylko na przemian obrazy i litery, niektóre z nich kreśliłem na tablicy, a jak się co wymawia i czyta, odgadywali sami widzowie. To właśnie główna moja zasada, żeby uczący się nie wykładał na pamięć za nauczycielem i książką, tylko żeby sam, o ile tylko możliwe, odgadywał, wysnuwał z siebie — i własną myślą z zajęciem pracował.

„Pokaz z przemową do zgromadzenia i przesiedaniem się nieczytelnych trwał dwie godziny, ale sama nauka tylko półtorej godziny. I ogół tych, którzy nie znali ani jednej litery, pod koniec tej lekcji

umiał pisać i czytać. 7 liter i złożone z nich wyrazy. Ku końcowi pokazu pokazałem obraz, na którym był las. Uczący się zobaczywszy go powiedzieli „las“. Wtedy poprosiłem, żeby to słowo napisali. Otóż napisali wnet z głowy i to bez pomyłki słowo „las“. Potem zobaczywszy inny odpowiedni obraz tak samo napisali sami z głowy i bez długiego namysłu słowo „osa“, a na koniec wyraz „sala“.

„Umieli też przeczytać i napisać na przykład: „ile uli u Salusi, ile soli, ile lal u Olesi“.

„Po jednej lekcji i to pierwszej w życiu, więc najtrudniejszej, nikt wymagać więcej nie może.

„Na prośbę, żeby pokazano papier z własnoręcznym napisem **las, osa**, mnóstwo rąk wyciągnięto, aby go podać; sąsiedzi zaś wtajemniczeni albo i sami uczniowie mówili z uradowaniem: „To pierwszy raz, po zupełnej nieumiejętności“. Pisanie to było dane do oglądania obecnym nauczycielom, pisarzom i innym osobom.

„Doświadczenia przez powtórzony kilkakrotnie pokaz tej pierwszej nauki czytania z gromadą nieczytelnych ujawniły, że niektóre najmniej zrazu chętne i najtępsze osoby w środku lekcji zaczynają się ożywiać, umysł ich się zaciekawia, zaostrza, a pod koniec w trafności i szybkości odgadywania niewiadomych dotąd rzeczy wyprzedzają wszystkich...

„Po takiej też pierwszej lekcji każdy mający książkę, papier, ołówek i linijkę może uczyć się dalej już zupełnie sam bez nauczyciela“.

Gdyby Promyk żył dłużej, byłby niewątpliwie przystąpił do urzeczywistnienia swego olbrzymiego planu, znalazłby zapewne owych 200 nauczycieli, by dokonać z ich pomocą zamierzonego dzieła.

Niestety, plany te pokrzyżowała rychła już choroba i śmierć Promyka, zabierając z placówki człowieka w pełni sił, za ledwie w pięćdziesiątym ósmym roku życia.

„Krótkość, jasność, zwięzłość i prostota — oto są charakterystyczne, jakkolwiek nie jedyne zalety i cechy metody Prószyńskiego“, pisze o elementarzach Promyka jego długoletni serdeczny przyjaciel, pisarz i historyk szkolnictwa, długoletni sybirak, Adam Szymański.

Trudno o prostszą, a bardziej wyrazistą charakterystykę elementarza Promyka i samego Promyka.

Krótkość, jasność, zwięzłość i prostota. Cechy płynące z głębokich pokładów duszy Promyka, wyrobione wszakże i rozwinięte

przez długoletnie obcowanie z ludem polskim, życie się z jego dołą i niedołą, poznanie na wylot jego warunków bytu, jego trosk i radości, nadziei i zwątpień, słabości i mocy.

Prószyński, urodzony na Białej Rusi, polskiej wsi nie widział do czasu, gdy młodym chłopcem przyjechał do Warszawy z Syberii. Jak pisze Szymański „śnił o niej dzieckiem będąc, jak o jakimś raju ziemskim“. Gdy zobaczył tę wieś po raz pierwszy, „z przerażeniem dowiedział się, że w całej wsi nikt nie umie czytać“.

Jał poznawać tę wieś bliżej i głębiej. Zaczął swę studenckie pie-sze wędrówki po kraju. Zachowało się po nim wiele zeszytów, w których zapisuje każdy niemal krok, każdą ciekawszą, nawet nie własną a zasłyszaną w wagonie kolejowym czy na noclegu rozmowę, ot, można by powiedzieć, słyszy i wchłania w siebie każde tchnienie ziemi rodzinnej, czuje każde uderzenie jej tętna.

Chałupa — plebania — organistówka — dwór — rudera w mie-steczku, to jego noclegi, popasy, źródła wiadomości bezpośrednie, ży-we, gorące. Wszystko go interesuje. Przede wszystkim wiekuisty, palący temat: czy i co kto czyta? Czy jest szkoła, kto i jak uczy? Na każdej stacji pocztowej notuje szczegółowo tytuły gazet i liczby przedpłatników poszczególnych pism, bardzo ciekawe skądinąd do-kumenty czytelnictwa prowincjonalnego. Wyszukuje i skrzętnie opi-suje zabytki.

„...Zajezierze, ok. 30 gospodarzy. Karczma, gdzie chowają (wy-raz nieczytelny), sady owocowe przy chatach. Chłopak Nagodowski zaprowadził do stodoły i tam nocleg. Nazajutrz dali ręcznik i wody. Nie chcieli przyjąć pieniędzy. Parafia, to Sieciechów i gmina zdaje się tamże. Starania o odzyskanie kościoła dawnego w opactwie pobe-nedyktyńskim. Szkoła aż w Sieciechowie. 8 lipca czwartek. Opactwo, kościół (patrz w książeczce). Posadzka marmurowa w szachownicę powydzierana. Resztki ołtarza... Sieciechów o pół wiorsty, domki ma-łe, drewniane, gontami kryte, drzwi z podwórka, po 2 okna na ry-nek. Nie brukowane. Tylko około 4 rodziny żyd. Mleka z kwartę wy-piłem w jednej chacie, za co nie chciała gospodyni nic wziąć, wre-szcie zażądała 5 groszy. Szkoła, nauczyciel. Kościół 1671. Proboszcz stary, Kopczyński, na polowaniu. Wikary myśli o bibliotece parafial-nej, 4 000 parafian (patrz w książ.). Droga koło klasztornej Woli wzdłuż rzeczki szlamistej do Bąkowca. Tu młyn i dwór. Zarośla trzcinowe, las sosnowy, jagody, żaby, jaszczurki, żmije. Zawady. Dość duża. Szkoły nie ma“.

Przyroda i historia, geografia i statystyka. Ale wszędzie i zawsze na pierwszym miejscu człowiek. Zwłaszcza ciemny człowiek. I ból. Że choć wieś taka duża, ale szkoły w niej nie ma. Et, wziąć by kawałek kredy w rękę, ot tam na stodole narysować litery i uczyć, uczyć, uczyć...

W tych włóczęgach nauczył się Promyk poznawać duszę chłopą, uczył się szanować jej prostotę, jej bezpośredniość, jej zdrowy, jakże nieraz wytrawny chłopski rozum. Tam nawiązał pierwsze serdeczne nity z wsią polską. Bez frazesów, bez deklamacji wszedł w swą rolę apostoła.

Uznanie? Miał go Promyk od wczesnych lat wiele. Miał po temu podstawy, miał triumfy wydawnicze, o jakich się w polskich księgarniach nikomu dotąd nie śniło. Ale za zaszczytami nie gonił. Za prostą, za skromną miał na to duszę. I sędzę, że od zdawkowych pochwał dziennikarskich większą radością były dla niego chwile, gdy... „niektóre najmniej zrazu chętne i najtępsze osoby w środku lekcji zaczynają się ożywiać, umysł ich się zaostrza“.

Im niżej, im bliżej samych podstaw narodowego bytu — ludu, tym tego uznania było więcej, tym było ono szczerze, gorętsze, bardziej bezpośrednie. Wyżej bywało rozmaicie. Prasa łaskawie milczała. Za miedzą, w Galicji, w Poznańskim, niewiele o Promyku wiadzano. Była we Lwowie wystawa w roku 1894, pierwsza bez mała tego rodzaju próba sił budzącego się z głębokiego snu kraju. Zjechało się wszystko co najtęższe w narodzie. Przyjechał i Promyk, przywiózł ze sobą swe arcydzieło. „Osobiście pouczał, pisze Szymański, kogo pouczać należało, czym jest to arcydzieło, i jak, i ku czemu służyć może. A gdy widząc, że słów jego słuchają jak bajki o żelaznym wilku, użył ostatniego argumentu, jakiego tylko mógł użyć, że na tym elementarzu przy tej metodzie średnio zdolne dziecko w ciągu pięciu tygodni, a niezdolne w ciągu ośmiu tygodni wyucza się czytać, usłyszał straszną odpowiedź: „Czy się wyuczy w ciągu pięciu tygodni, czy w ciągu pięciu miesięcy — to wszystko jedno, chodzi o to, aby się wyuczyło“.

Pięć tygodni łatwych zajmujących dla dziecka zagadek, czy pięć miesięcy męki? Wszystko jedno, byle się wyuczyło. Straszna zaiste odpowiedź.

Najwyższa ocena Promykowego dzieła zapadła het daleko poza krajem. Oto co pisze tenże Szymański we wstępie swej broszury „Najlepszy elementarz świata“ wydanej w r. 1904:

„Kiedy około dziesięciu lat temu jakieś towarzystwo pedagogiczne w Londynie, czy też grupa ludzi interesujących się sprawami pierwszego elementarnego nauczania, umyśliła rozstrzygnąć ciekawą kwestię: jakim dzieciom najłatwiej nauczyć się czytać? musiano sprowadzić i zebrać książki do pierwszej nauki czytania przeznaczone, czyli tzw. elementarze z całego świata. I Bogu niechże będą dzięki, że rozumni Anglicy... załatwili sprawę najwłaściwiej, poruczając swym wysłannikom zakupienie w najlepszych i największych księgarniach najbardziej rozpowszechnionych i używanych elementarzy. I lud polski dał zapewne we wszystkich księgarniach warszawskich wysłańcom angielskim drogą książkę swoją: Elementarz swego ulubieńca, Kazimierza Promyka.

Spomiędzy pięciuset przeszło najbardziej rozpowszechnionych elementarzy zgromadzonych ze wszystkich krajów świata najlepszym wedle mniemania Anglików okazał się polski elementarz Promyka“.

Dał Promyk narodowi najlepszy na świecie klucz do duszy dziecka, do duszy ciemnego człowieka. Rozeszło się już po Polsce kilkadziesiąt tysięcy drobnych książeczek. Pochyliło się nad nimi kilkaset tysięcy główek dziecięcych. Pochyliły się i dojrzałe, czasem mocno już spracowane szpakowate głowy. Przeczytali. Skończyli. Co czytać dalej?

Stała przed Promykiem nowa wielka praca. Nowa ciężka walka. Nowe wielkie zwycięstwo.

Na imię jej było „Gazeta Świąteczna“.

PISARZ GAZETY ŚWIĄTECZNEJ

„Po pięciu latach pracy — pisał pod koniec życia Promyk do Szymańskiego mając na myśli lata 1875 — 1880 — był już kawałek nowiny wykarczowanej, przysposobionej do orki i siewu za pomocą pisma periodycznego... Kiedy zaś pod koniec roku 1880 zdołałem uzyskać koncesję na Gazetę Świąteczną i rozesłałem o niej wiadomość drogami utworowanymi przez drukowane w ciągu pięciu lat poprzednich książeczki i elementarze, wnet zapisało się na nią 2 500 przedpłatników. Potem liczba ich stopniowo wzrastała i powoli doszła do tego, że dziś* muszę drukować 12 600 egzemplarzy. Szczególniej po-

* List pisany był w r. 1899. W kilkanaście lat później, przed pierwszą wojną światową, liczba przedpłatników przekroczyła 30 000.

cieszący jest fakt, iż przedpłatnikami są niemal wyłącznie ci czytelnicy, dla których Gazeta Świąteczna jest przeznaczona, nie zaś protektorowie oświaty z „wyższych stanów“. Co więcej popieraczami bardzo gorliwymi oświaty stają się sami czytelnicy Gazety, włościanie, robotnicy fabryczni, po trosze i drobna szlachta. Nie tylko udzielają oni odczytane przez siebie numery sąsiadom, ale coraz częściej się zdarza, że ubogi człowiek, co sam zaledwie czytać umie, oszczędza grosz i czyni ze swych pieniędzy ofiarę zakupując drugi egzemplarz Gazety na zachętę dla kogoś w takiej wiosce, gdzie jeszcze ludzie nie są do czytania wdrożeni i nie chcą sami płacić za siebie“.

Ustęp ten tchnie pogodą. Z czytelnikami tedy kłopotu nie było. Było ich wielu i wielu serdecznych przyjaciół wyrosło z tej niwy i dla Gazety i dla Promyka. Ale innych kłopotów, zgryzot i trudów było co niemiara. Od samego początku. Jeszcze się Gazeta nie zaczęła, a już samo wyrobienie koncesji, czyli pozwolenia na uruchomienie wydawnictwa, pochłonęło moc zabiegów i dreptań, nie mówiąc o kosztach, starania te bowiem wypadło czynić nie tylko w Warszawie, ale i jeździć do Petersburga. I wszędzie kłaniać się, i prosić, i zabiegać. Można sobie wyobrazić, jaka to była męka dla człowieka, który z twardym karkiem po świecie chodził i prosić nikogo o nic nie lubił.

Przez długi czas zdawało się, że wszystkie te starania rozbiją się o opór władz, wreszcie dzięki czyjejs wysokiej protekcji udało się zrobić wyłom w tym oporze i Promyk dostał koncesję zresztą nie na swoje imię, ale na nazwisko H. Benniego, lektora języka angielskiego.

Pierwszy numer Gazety Świątecznej ukazał się z Nowym Rokiem 1881.

Serdecznie, prosto, zwraca się Promyk do czytelników ze słowem powitalnym.

„Oto czytelnicy mili nowy przybysz — Gazeta Świąteczna — w progi wasze się zjawia. Przychodzi on, aby zabrać z Wami znajomość, pogwarzyć pod waszym dachem, przynieść Wam trochę wieści ze świata i podzielić się dobrym słowem tak szczerze, jak poczciwi ludzie zasiadający do wigilijnej wieczerzy nawzajem od serca opłatkiem się dzielą. Przyjmijcież i Wy tego przybysza w swe progi... ze szczerym sercem, nie odwracając się od niego, nie zamykając przed nim swej duszy. Kto przybyszowi rad będzie, tego i on zrobiwszy tę pierwszą znajomość stanie się gościem częstym, bo co tygodnia się zjawiającym“.

Przeglądając pierwsze roczniki Gazety Świątecznej odnosi się wrażenie, że poza listami do redakcji całą resztę wypełniał sam redaktor, a raczej, jak się sam nazwał, „Pisarz Gazety Świątecznej”. Píše o tym zresztą wyraźnie sam Prószyński w jednym z listów: „Dotąd (rok 1899) stoję i pracuję niemal sam jeden. Oprócz jednej niemłodej już i wątłego zdrowia osoby, panny, należycie wykształconej, sumiennej i zacnej, która jest sekretarką redakcji, nie znalazłem nikogo, na czym pisaniu i zmyśle redakcyjnym mógłbym polegać. Poszukiwania i konkursy nie wydały owocu pożądanego.

„Nie mam zastępcy, ani następcy. Ludzie nie pojmują wprost, co i jak dla tego naszego ogółu zwanego ludem pisać należy”.

Grono współpracowników Gazety Świątecznej byłoby może i większe, gdyby nie to, że Promyk w nieustannej trosce o przystosowanie podawanego w Gazecie materiału do poziomu przeciętnego jej czytelnika poprawiał i przerabiał niedostatecznie jego zdaniem jasno i popularnie ujęte ustępy nadsyłanych mu artykułów nie licząc się zupełnie z prawami autorskimi. Rzecz zrozumiała, gdy się zważy, że nie każdy z literatów, nie wyłączając najwybitniejszych, umie pisać językiem przystępnym i zrozumiałym dla szerokich warstw czytelników pisma ludowego. Niemniej na tle tych przeróbek, może niekiedy zbyt daleko sięgających, dochodziło do częstych zatargów z autorami i w rezultacie do wycofywania się wielu z nich ze współpracy w Gazecie Świątecznej. Porzucony odcinek przejmował oczywiście nie kto inny, tylko Pisarz Gazety Świątecznej.

„Od lat trzydziestu już nie miałem ani jednego tygodnia pełnego wypoczynku. Praca i niepokój nieustanne. Od lat zaś 19 (tj. od powstania Gaz. Świąt.) życie pędzę gorączkowo, sypiam 5 — 6 razy na tydzień, a często bardzo 24 — 48 godzin bez przerwy czynnym i przytomnym być muszę, nie kładąc się ani na chwilę. Bliscy i lekarze nazywali me zdrowie żelaznym, grożąc jednak, że do pory dzban wodę nosi. Prawdę mówili. Od pewnego czasu mocno na zdrowiu szwankuję”.

Praca i niepokój. Gdybyż tylko praca. Ale niepokój. Nieustanny. Ciągła groza, że to jego najdroższe dzieło zostanie zburzone jednym pociągnięciem pióra dygnitarza, któremu nie spodoba się ten czy inny ustęp. Zeby sobie zapewnić tę trochę niezbędną dla życia i pracy spokoju, zakupuje Promyk koncesję na inne pismo ludowe, wydaną już dawniej przez władze, ale nie wykorzystaną, i trzyma ją w biurku na wypadek katastrofy.

Nawet zresztą i bez katastrofy prowadzenie pisma ludowego przy ówczesnej cenzurze było czymś, co można by chyba porównać z cyrkowym chodzeniem po linie.

„Żadne bez wyjątku pismo — pisze Promyk — nie było pod taką staranną opieką cenzury, jak Gazeta Świąteczna... Jednym ze stałych przedpłatników i najpilniejszych czytelników Gazety Świątecznej był kurator Okręgu Naukowego Warszawskiego, Apuchtin. Tam stokroć niestety więcej interesowano się tym pismem, czytano i znano je dokładniej, aniżeli w zwykłych domach naszej „inteligencji“ w miastach i po wsiach; również bacznie czytano ją w domu Generał-Gubernatora Hurki, od którego często odbierał za nią wymówki przy sobotnich raportach prezes komitetu cenzury. To do reszty podnieciło czujność cenzorów uważających już od samego początku Gazetę jakby za coś groźnego dla rządu i nienawistnego. Próbowano przez cały szereg lat byt jej podkopać przez umyślne łagodniejsze cenzurowanie wszystkich innych pism, a surowość wyłącznie dla niej. Z tego powodu odmawiano nam także stale pozwolenia na umieszczanie w Gazecie obrazków. Niechęć u władz i niejednokrotnie niesłuszne skargi gubernatorów na Gazetę Świąteczną wzbudzało i to, że zajmowała się ona od początku sprawami gminnymi i wyjaśniała prawo. Węć za to przez lat dziesiątek potem byliśmy niemal zupełnie pozbawieni możliwości pisania o porządkach w gminach“.

W pewnym okresie cenzura zaostrzyła się nagle w sposób niepraktykowany. Cokolwiek się posłało, wszystko wracało, bądź skreślone, bądź pokiereszowane i zniekształcone czerwonym ołówkiem do tego stopnia, że zużytkować ten materiał w Gazecie było nie podobna. Promyk zwiertzył jakąś planową akcję cenzury, spróbował więc dotrzeć do źródła. Udało mu się odsłonić tajemnicę. Okazało się, że Gazeta Świąteczna tym u władz popsuła sobie opinię, że stale pomijała wiadomości z życia dworu carskiego. Pod naciskiem takich okoliczności Promyk zdecydował się na ustępstwo i jał umieszczać co jakiś czas wzmianki o „najwyższych“ przejazdach, wizytacjach, urodzinach i pogrzebach cesarza rosyjskiego i jego rodziny. Kupił tym sobie wprowadzić rozluźnienie cenzuralnego kagańca w innych działach Gazety, ale z drugiej strony ściągnął na siebie zarzuty zdrady narodowej, płaśczenia się przed rządem itd. itd.

Posiedzenia cenzury odbywały się w czwartki, na niedzielę zaś gazeta musiała być już nie tylko wydrukowana, ale dostarczona adresatom na miejsce, można sobie więc wyobrazić, jakich sztuk i ła-

mańców musiała się chwytać redakcja, żeby w takim krótkim czasie zdążyć ze wszystkim i czytelnikom zawodu nie zrobić.

„Kiedy Promyk dostał taki pokreślony arkusz z cenzury — czytamy we wspomnieniach Apoloniusza Piechnika, zecera Gazety Świątecznej — namyślał się, co czynić. Czas wielki drukować, żeby czytelnicy dostali gazetę bez opóźnienia, a tu siadaj i pisz na nowo i to zaraz prędko. Jeżeli cenzor wyrzucił cały jakiś utwór, to go się zastępowało innym... Jeżeli Promyk uważał, że uda się coś bardzo potrzebnego przemycić, to kazał drukować i rozesłał Gazetę, a dopiero później w Gazecie idącej na Warszawę i do cenzury robiło się na maszynie „zmiany“, jakich wymagał cenzor. Groziło to zamknięciem Gazety i aresztowaniem redaktora i właściciela drukarni. Jak ta praca wyczerpywała, widzieliśmy naocznie. Jednego razu, gdy Gazeta była już na maszynie, przyszedł do drukarni Promyk, aby sprawdzić, czy gdzie nie zostało się co do poprawienia. Wziął z maszyny arkusz Gazety i czytając zdrzemnął się i byłby upadł na koło maszyny będącej w ruchu, gdyby go nie schwycił maszynista drukarski, który go nie odstępował na krok.

„Gazeta Świąteczna drukuje co rok dla czytelników kalendarz ścienny. Otóż cenzorom zachciało się wtedy, aby kalendarz był drukowany i po rosyjsku. Co tu robić? We wszystkich kalendarzach drukowano na jednej stronie tuż obok polskiego kalendarz rosyjski. Otóż Promyk zrobił tak: kazał złożyć osobno na jednej stronie kalendarz po polsku, a na drugiej po rosyjsku, jako kartę Gazety (wkładkę). Władze były zadowolone, że na równi z polskim daje się kalendarz rosyjski z wielkim rosyjskim nagłówkiem, a czytelnik gdy dostał kalendarz, oczywiście rosyjską stronę kalendarza smarował kłajstrem i przylepiał do ściany, a w ten sposób miał na ścianie tylko kalendarz polski, co wtedy było rzadkością“.

Takie były udręki Promyka z cenzurą. Kosztowały one czasem sporo grosza na podarki dla cenzorów, kosztowały zawsze dużo nerwów i niepokoju, i proszenia, i deptania. I strojenia się we frak do pana prezesa cenzury, czego Promyk bardzo nie lubił. Ciężkie były te udręki, nie były wszakże najcięższe. Cięższe od nich były spory i tarcia z własnym społeczeństwem, odpieranie ataków przypuszczanych na Gazetę przez swoich. Promyk starał się wszelkimi siłami zachować bezstronność i nie przechylać Gazety ani w prawo, ani w lewo, ale też atakowany był zarówno z lewa, jak i z prawa. Skarży się czasem gorzko na to.

„Może by już do tego czasu — pisze do przyjaciela — nawet Gazeta miała owe 30 000 przedpłatników, ale niestety na przeszkodzie temu stały niektóre pisma o kierunkach krańcowych i ze względów stronnich lub prywatnych wrogie dla Gazety Świątecznej, a wpływowe wśród znacznej liczby duchowieństwa i niektórych warstw inteligencji wiejskiej. Systematycznie i wytrwale przez lat kilkanaście, z gorliwością godną lepszej sprawy, rzucaniem podejrzeń najdziwaczniejszych, to tendencyjną kłamliwą krytyką, to zmyślaniem plotek oszczerczych, starano się w tych pismach i nie bez skutku powstrzymać inteligencję świecką i duchowną od popierania Gazety Świątecznej, a nawet nakłonić do jej prześladowania. Reszta zaś prasy naszej nie prostując bynajmniej takich występów zachowywała się zwykle najzupełniej obojętnie“.

Głównym kamieniem obrazy był zdaje się dla prawicy ludzki, pełen miłości bliźniego stosunek Promyka do Żydów.

Spór z socjalistami był dawniejszy, datujący się jeszcze ze studenckich czasów, z epoki Towarzystwa Oświaty Narodowej, które rozchwiało się głównie na skutek przejścia na stronę lewicy większości jego członków.

Na tle tych ogólnych politycznych niechęci wynikały czasem zatargi i krytyki dotyczące poszczególnych artykułów czy projektów Promyka.

Jednemu z krytyków nie podoba się to np, że Promyk rozpiął w Gazecie ankietę czyli szereg pytań dotyczących odżywiania się ludu na wsi, innemu ton jakoby „kaznodziejski“, to znów „rozwlekłość i nudziarstwo“.

I znowu i z prawa i z lewa. „Słowo“ — prawicowe pismo warszawskie osiemdziesiątych lat — atakuje np. Promyka za poziom jego artykułów. Jest on, zdaniem „Słowa“, za wysoki. Dziennik ten poucza Promyka, że powinien on pisać dla ludu „językiem poprawnym literackim, ale popularnie, zrozumiale“. Pyta, jaki może być pożytek z artykułu o gwiazdach spadających, w którym autor (tj. Promyk) używa „porównań z nauką niezgodnych, do błędnych wyników prowadzących“.

Promyk piszący niezrozumiale, rozwlekłe? Wprowadzający w błąd?

To z prawa. A z lewa? Dla przykładu weźmy dłuższy artykuł „Przeglądu Tygodniowego“, pisma jak na owe czasy postępowego, w którym autor w ostrej, przykłej formie atakuje Pisarza Gazety

Świątecznej za jakiś konkurs na nowelkę dla ludu. Odpowiedzi Promyka nie ma, może jej zresztą i nie było nigdy, bo zaczepka ma ton mocno obraźliwy i ostry, napisana zaś jest tak ogólnikowo, że nie można się ani w treści zarzutów, ani tym bardziej co do ich słuszności zorientować. Nie jest to zresztą naszą rolą. Chodziło tu raczej o stwierdzenie, jak rozbieżne i z jak różnych pozycji leciały kłody pod nogi Promyka.

Tysięcznemu numerowi Gazety Świątecznej nadano jako jubileuszowemu charakter bardziej uroczysty. Numer wyszedł w zwiększonej objętości, otwiera go artykuł wstępny Promyka, w którym m. in. złożyłwszy podziękowanie przyjaciołom, współpracownikom i czytelnikom pisma zwraca się z podziękowaniem także i do wrogów, działających „czasem jawnie, a częściej skrycie”. Zabiegi ich były niestety często skuteczne, „nie mogło to nie być dla duszy i serca bolesne. Ostatecznie jednak wdzięczni za to jesteśmy. Cierpienia nie zawsze ludzi podkopują, czasem hartują i krzepią”.

Odtrutką na wszystkie te kwasy i nagrodą za wszystkie znoje, niedospane lub całkowicie bezsenne noce, osłodą doznanych przykrości i zniewag była świadomość rosnącej wciąż potęgi wpływów Gazety. „Jakie ożywienie — pisze Promyk — panuje wśród czytelników, pojmie ten tylko, kto siedzi w redakcji, gawędzi z przychochodzącymi wieśniakami i odczytuje napływające od nich nieustannie listy”.

Pielgrzymowano do niego jak do Mekki. Długoletni czytelnik, Jakub Grabowski, opisuje w r. 1910, już po śmierci Promyka, pobyt u niego w redakcji. „Nocowałem dwie noce w gmachu redakcji wraz z innymi. Wiedzieliśmy, że nas kocha, ale rozmówić się z nim nie mogliśmy. Drugiej nocy ujrzeliliśmy go przy roztworzeniu drzwi, kłaniającego się nam; później nam objaśniał i prawie przeproszał, że nie mógł nas zadowolić rozmową, bo niewykończoną miał pracę, która dla wszystkich, a nie dla pojedynczych ludzi będzie pożytkiem”.

Gdyby z całego archiwum Gazety Świątecznej nie zachowało się nic prócz listów pisanych przez czytelników do Pisarza Gazety Świątecznej, to z tych przedziwnie prostych, szczerych, a bezpośrednich wypowiedzi można by z łatwością odtworzyć w całej wspaniałej wielkości ów ogrom wpływu, jaki na lud przez Gazetę wywierał Promyk.

Listy nadchodzące do redakcji numerowano; widziałem listy opatrzone bardzo wysokim, blisko stutysięcznym numerem, prawda

z epoki późniejszej, kiedy Promyka już nie stało. Przejrzałem część tylko, a i z tych przejrzanych znów tylko drobne strzępy dadzą się tu przytoczyć:

„...i w Ameryce i w Rumunii spotykałem czytelników Gazety Świątecznej. I tak całe życie moje jest z nią związane i na pewno wszystko, co jest w mej duszy lepszego, to zawdzięczam najpierw rodzicom, ale, zapewne i w dużej mierze Gazecie Świątecznej, bo znałem ją i czytałem przez całe życie, więc musiała wywrzeć na moje usposobienie duży wpływ. Od najmłodszych swych lat aż do siwizny czytając Gazetę, mam w niej najlepszego przyjaciela, który mię ani razu nie wprowadził w błąd.

„...Jak przyjdzie gazeta na niedzielę, to się nie można do niej, dorwać, bo wszyscy chcą czytać, bo u nas jest w domu 8-ro, wszyscy umiać czytać: kto przyniesie od sołtysa, to już najpierw przeczyta i wszyscy się cieszą gazetą i czeka jeden na drugiego.

„...Naszo ukochano Świąteczno iest najulubieńszym pismem, już trzydzieście kilka lat czytam ją, a nigdy nie znalazłem słów niezrozumiałych... więc życzę sobie dotrzymać do końca swojego życia, a potem przekazać dzieciom swoim bo iuż siedemdziesiątka minęła, to i pisanie nieudolne.

„...Będąc jeszcze małym chłopcem, kiedy zapoznałem się z Gazetą Świąteczną, odtąd marzyłem ciągle, aby choć raz w życiu zobaczyć jej pisarza i oto dziś spotkało mię to szczęście (na wiecu chłopów w Filharmonii Warszawskiej w r. 1905), toteż kiedym ujrzał tego szanownego starca, pokrytego siwizną, lzy wdzięczności zakręciły mi się w oczach.

„...Ja nie należę do tych szczęśliwych, co mieli możność chodzić do szkoły i się uczyć, ja nie byłem i godziny w szkole, bo ja prostak nie uczony, patrzę tylko pług, brony.

„...Serdecznie bym podziękował Wiel. Zarządowi jak by mi przysłał jaką książkę, bo tych Świętych to już mam tylu, że nawet co prawda nie wiem, do którego się modlić. Czym więcej Świętych, tym większa bieda.

„...Gdyby wstał z grobu nas kochany Poeta Mickiewicz i rozeźniał się po kraju naszym i zajął pod słumiane strzechy, oj pewno z radości zapłakał, gdyby zobaczył w każdym domu ksiańską i pismo pożyteczne, pewno by uściśnił braterskom renkom dłuż Pana Prószyńskiego i powiedziałby nasze stare polskie Bóg zapłać.

„...my wszyscy czytelnicy Gazety Świątecznej, to jeźdźmy złączeni jakby wielkim pokrewiństwem i wielkóm rodziną bo gdy mi się trafiło spotkać człowieka, który czytał gazetę Świąteczną tak jak i ja, to tak mi było przyjemnie zacząć rozmawiać, jakbym rodzzonego Brata spotkał“.

Już po śmierci Promyka w czasie wojny:

„...w r. 1916 dostał nam się jeden numer G. Św. Jak to się mówi szwarcowanej, tośmy się tak na nią nie mogli nacieszyć, a moja śp. mama, to ją już tak lubiała, że aż się rozplakała z radości“.

Początek listu:

„Otóż, proszę Redakcji przyjaciółki mojej“...

Trudno jest coś dodać od siebie w ocenie Gazety Świątecznej do tych prostych słów, tak jak trudno jest znaleźć w języku ludzkim słowo mocniejsze od prostoty.

Był Promyk dla czytelników swoich ojcem tak, jak oni dla niego dziećmi.

Kiedy w r. 1906 lekarze zażądali stanowczo, by się na kilka miesięcy przynajmniej oderwał od Gazety i jej spraw, pisze do Czytelników Gazety takim tonem, jakim pisuje się tylko do rodzonych dzieci, usprawiedliwia się z tej nieobecności, jakby to stało się z jego winy, przeprasza ich i żegna się z nimi. Zna wszystkich starszych czytelników, zwołuje u siebie liczne ich zebrania, a gdy który z nich umrze, drukuje o zmarłym serdeczne wspomnienie pośmiertne w Gazecie. Nieznany ofiarodawca złożył w redakcji ofiarę pieniężną na wysyłkę gazety do miejscowości, która jeszcze gazety nie ma. Gdy cenzura tego w Gazecie ogłosić nie pozwoliła, załatwił Promyk sprawę w drodze korespondencji z bardziej zaufanymi czytelnikami. Nie sądzę, by było kiedykolwiek w Polsce, czy może i gdzie indziej, drugie pismo, którego redaktor byłby w tym stopniu, co tu, zżyty ze swymi czytelnikami, aby myślał ich myślą, czuł ich bólem i radością, znał ich zwątpienia i nadzieje, słabości i wartości. I umiał te wartości uszanować. W jego stosunku do chłopów nie było nigdy ani cienia wyższości, traktowania z góry, z łaski swojej. Wiedział dobrze, co chłop jest wart, i tę wartość cenił wysoko.

„Razu pewnego — tak opowiadał rozmowę swą z Promykiem jeden z czytelników — rozmawiając poufnie wypytywał się o zebrańia gminne. Skarżyłem się na brak ludzi z wyższej klasy, którzy by przewodniczyli. Na co powiedział:

Nie możecie się oglądać na nikogo; źle będzie nam się dzać, gdy tak będzie. Dzisiaj każdy jest obywatelem. Ja tłumaczyłem, że inteligentom i księżom więcej ufają.

Uwzięcie stał przy tym, że koniecznie trzeba samodzielności ludu; dwory upadają, księża mają swoje obowiązki“...

To „uwzięcie“ Promyka, druga zasadnicza jego cecha, sprawia, że Gazeta Świąteczna przez 26 lat jego redaktorstwa nie zboczyła ani na włos od wytkniętej sobie drogi. Żył prawdą i ludzi do prawdy zachęcał. W r. 1906 noworoczny artykuł zakończył ładnie ujętym życzeniem. „Tego też — tj. możliwości życia prawdą — czytelniku drogi przede wszystkim Tobie, jak sobie samemu, a może nawet jeszcze więcej niżli sobie, życzy z serca Pisarz Gazety Świątecznej“.

Prawda i miłość dla ludu, w którym Promyk widział rdzeń narodu, widział Polskę, to są dwie zasadnicze wytyczne redakcji Gazety Świątecznej.

Z tego wypływały dalsze. Bezpartyjność. „Wolno zatem człowiekowi — pisał w Gazecie w tymże 1906 roku — należeć do partii jednej, drugiej, trzeciej, czy dziesiątej, jaka mu się podoba, ale dobre pismo, dobra gazeta do żadnej partii, do żadnego stronnictwa należeć nie powinna. Gazeta i ludzie ją stale piszący obowiązani być bezstronni. Boć tylko wtedy, tylko bezstronni mają możność przedstawić obie lub wszystkie strony rzeczy, pisać czystą prawdę, nie zwodzić czytelników“.

Można się dziś nie godzić na takie postawienie sprawy, ale pobudki były tu szlachetne i trudno ich nie uszanować.

Ofiarność pracy. Gazeta Świąteczna przez cały czas swego istnienia, to jedna wielka, bez przerwy czynna poradnia. Dodać trzeba, że dzieje się to w dobie, kiedy na wsi nie ma kółek rolniczych, czy też Ubezpieczalni Społecznej, kiedy więc ów Pisarz Gazety Świątecznej musi być i lekarzem, i prawnikiem, i budowniczym, i pszczołarzem, i musi znać się na wszystkich odmianach wiejskiego rzemiosła. Musi. Bo tego żądają od Pisarza owe setki, tysiące listów, czasem nagryzmołone takimi kulasami, że tego przeczytać nie można, czasami rozbijające swą prostotą, lecz zawsze pochłaniające cały bezmiar pracy, pracy i jeszcze raz pracy.

Z tego znów ostatniego płynęła niebywała wszechstronność Gazety Świątecznej.

Życie, nawet owo ciche wiejskie życie, wysuwało setki spraw ważnych, istotnych, czasem palących. Najbardziej żywych i palą-

cych nie pozwalała się tknąć bezmyślna ręka cenzora, ale też tym bardziej podziwiać należy talent Promyka, który potrafił jednak przemycić w Gazecie sporo wiadomości z zakazanego jak najostrzej świata historii Polski czy krajoznawstwa, opisy zabytków, wieści o obcych ziemiach i ładach, szczególnie jeśli los tam rzucił garstkę Polaków. I jeszcze znajdował Promyk miejsce na owe potępiane przez część prasy krajowej gwiazdy spadające, tematy oderwane, astronomię, geologię czy tak bliską Promykowemu sercu geografję. Tematy te były, jak się okazuje z listów, niezwykle żywo i chętnie przyjmowane przez czytelników.

Był też Promyk jednym z pierwszych opiekunów przemysłu ludowego — chałupnictwa. Tak np. wyłożył na łamach Gazety całokształt farbiarstwa dla tkaczy — chałupników, których zawsze było mnóstwo na wsi. W latach 1895 — 1898 zamieścił wiele artykułów zachęcających do hodowli morwy i jedwabnictwa.

Albo znów cały cykl, czyli szereg obrazków o polskich drzewach, dany po to, by krzewić w ten sposób umiłowanie polskiego krajobrazu i polskiej przyrody.

I jeszcze jedno. Jakby niedość mu było jeszcze pracy i listów do odpowiadania, sam jeszcze prosi swoich czytelników o wiadomości, ogłasza w gazecie ankiety na temat wszystkiego, co chłopa dotyczy, co mu dolega: jak się żywi, jak się ubiera, jak mieszka. Organizuje konkurs na budowę łaźni wiejskiej. I jak we wszystkim tak i w tym szczególe umie podejść do rzeczy wielkich od strony praktycznej. Łaźnia ma służyć wielkim celom, utrzymaniu higieny i czystości wsi, na co Gazeta stale kładzie wielki nacisk. Ale łaźnia jest rzeczą bardzo kosztowną, gdyby ją tylko dla tego celu budować. Ta sama wszakże łaźnia może służyć jako wspólna pralnia, a piec jej, przy odpowiedniej budowie, może być równocześnie piekarnią, która wypiekałaby chleb dla całej wsi. I oto w ten sposób ujęta łaźnia nie kalkuluje się już drogo i ludziska po trochu przestają widzieć w niej zmarnowaną na zbytek krwawicę.

Obok treści — forma. Język Gazety Świątecznej, czyli co na jedno wychodzi, język jej Pisarza. Zbyt wiele było już jego próbek, by trzeba było jeszcze dawać tu przykłady jasności, jedności, zwięzłości, a przede wszystkim prostoty tego stylu. Powiadają ludzie, że niedość jest pisać tak, żeby czytelnik wszystko zrozumiał, trzeba pisać tak, żeby nie mógł nie zrozumieć. Tak właśnie pisał Promyk. Nie ma chyba pisarza w Polsce, który lepiej niż on sprostał tym

wymaganiom. „Łopata w łeb“ — stwierdzają to setki listów do Gazyety Świątecznej.

A obrazowość Promykowego stylu.

Czytanie uczy myśleć: „Bez tego nasz brat mało się różni rozumem od bydlęcia, bo wciąż pracuje tylko rękami i nogami, wciąż robi jedno w kółko, tak że myśleć o tym nie potrzebuje i głowa jego próżnuje i mało zdalna do tego, żeby co rozważyć i dobrze zmierkować i dać radę, kiedy jaka niespodziana bieda przyjdzie. Patrzcie, jak ta prawa ręka, co ją od małości do roboty używamy, zdolna do wszystkiego, a tymczasem lewa, co więcej próżnuje, mało do czego się przydaje, najwięcej tylko do trzymania. Jak z lewą ręką, tak jest i z rozumem człowieczym, kiedy go się do roboty nie nawyczai. Otóż sama nauka czytania robi nasz rozum zdolnym do myślenia“.

Promyk szuka współpracowników: „Niedobrze jest drzewu stać w gołym polu samotnie, daleko mu lepiej rość w gaju, w lesie, w niedalekim, byle nie za bliskim sąsiedztwie z innymi drzewami“.

Krajobraz polski. „Gdy stare drzewa padają, domy się palą, mury rozsypują się w gruzy i pamiątki po wielkich ludziach z dawnych czasów nieuszanowane przez ciemnotę giną marnie, to najdłużej zachowuje się bez zmiany kształt powierzchni, po której przodkowie nasi stąpali i na którą patrzyły ich oczy“ (Mowa o Czarnolesie Jana Kochanowskiego).

Miał Promyk w języku swoim i rzeczy, z którymi się dziś trudno pogodzić. Miał trochę błędów, przywiezionych z Syberii w postaci rusycyzmów np. nierzadko trafiający się błąd w składni: „zarzuty te dotyczą jednej z ważnych zasad pedagogicznych, do propagatorów których śmiałem się zaliczyć...“

Gorsze są neologizmy, zarówno form gramatycznych: „jak najstopniowiej“ przechodzić od rzeczy łatwych do trudnych — jak też wyrazów, które Promyk często tworzy i wprowadza nowe. Najczęściej pod wpływem chęci zastąpienia trudnego obcego słowa wyrazem swojskim. Czasem udaje mu się to świetnie, np. „spowiednica“ zamiast „konfesjonał“, gorzej już: „dzieciarnia“ zamiast „ochrona“, albo „kolejowiec“, czy „żeleznica“ zamiast „tramwaj“. Zupełnie niezrozumiałe jest „buchadło“, czyli bomba, z pochodnym od tego wyrazem — buchadłowiec — statek wojenny. Dlaczego „gała ziemska“ miała być lepsza od „kuli ziemskiej“? Słowo „hakatnik“ nie jest

zgoła jaśniejsze, ani bardziej wyraziste od słowa, które ma zastępować — „hakatysta“.

Niczym nieumotywowana i niedźwieczna jest wytrwale, przez dziesiątki lat stosowana w wydawnictwach Promyka pisownia j przed i po samogłosce: pokojik, ruiny, zbroji itd.

Wszystko to są drobiazgi, jak drobiazgiem jest zaciekle, wytrwale — jak wszystko zresztą u Promyka — mantyctwem trochę trącające zwalczanie palenia tytoniu.

Miło jest nawet w pewnym stopniu zaznaczyć te usterki, żeby życiorysowi Promyka odebrać charakter jakiegoś panegiryku, czyli częściej chwały, zarysować tę postać tak, jak ona była z żywymi cechami ludzkimi i przywarami, z krwią swoją, ciałem i kośćmi. Tylko że tak trudno doszukać się istotnych przywar w tej postaci. Człowiekiem był i ludzkie miał słabostki. Drobne, ale słabostki. Żeby tylko takie wady wszyscy ludzie w Polsce mieli, jaśniej by polskie słońce świeciło.

Pływały lata. Numery Gazety wychodziły w świat opatrzone kolejną numeracją. Wyszedł numer setny, pięćsetny. W jubileuszowym roku 1900 przypadł numer tysięczny. Stał się też pewnego rodzaju jubileuszem.

„Po raz tysięczny ziarno pada na ziemię, pisał wtedy Promyk do swej drogiej, po całej Polsce i poza Polską rozsianej Świątecznej Rodziny. — Czy wydaje ono plon i dla kogo? Może nasienie marnie przepada. Może gnieje w błocie. Jeśli taki jego los, nie od nas to zależy.

„A jeśli nie ginie i plon wydaje, to jaki? Czy lichy, czy bujny? Jeśli lichy, nie cała wina w nas leży, jeśli bujny, nie nasza to zasługa. Plon zależy przede wszystkim od żyzności gleby, na którą siew pada...

„Trwamy na grzędzie, którąśmy wyrobili, staramy się pełnić sumiennie wzięty na siebie obowiązek, czynimy więc w miarę słabych sił naszych to, co możemy i co uważamy za potrzebne i pożyteczne... ale o skutku tych trosk i pracy, czy z niej istotnie zboże pożywne, czy chwasty szkodliwe się plenią, niech sądzą inni, byle tylko istotnie rzeczy świadomi“.

A w sześć lat później prawdziwy już jubileusz. Wielkie święto, dwudziestopięciolecie Gazety Świątecznej. Okrężne po żniwie całego pracowitego życia Promyka. Nie zachował się żaden jego opis, ale

choćby i był, czy zdołałby oddać rozgrzane, zdwojone tętno wdzięcznych ludzkich serc.

Jubileusz Gazety przypada na początki ostatniej śmiertelnej choroby Promyka.

Już na długi czas przedtem, czując zbliżający się koniec, pełen trosk o swoje najmilsze dzieło, pisze do przyjaciela długi, gorący, częściowo przytaczany już tutaj list:

„Od pewnego czasu mocno na zdrowiu szwankuję. Lekarze każą mi się leczyć, a jako pierwsze lekarstwo zalecają oderwanie się od zajęć na czas dłuższy, wypoczynek. W przeciwnym razie zapowiadają szybki i zupełny rozstrój nerwowy, ślepotę, a może i śmierć rychłą. I sam wiem instynktownie, że to wszystko wisi nade mną. Lecz nie mam czasu chorować, ani leczyć się. Przemagam się codziennie.

„Pozostają do wyboru dwie drogi. 1. Pierwsza droga. Ta sama, po której krocę dotąd. Pracować rozpaczliwie, wydawać z tygodnia na tydzień pismo i wkrótce paść na stanowisku niedołężnym lub martwym. Sumieniu memu to nie zaszkodzi, ale spokojnie dokończyć żywota mi nie da. Bo cóż się stanie z pracą moją? Ci czytelnicy, których się wyrobiło, może już nie zdziczeją, będą się starali o jakąś strawę umysłową. Ale czyż na tym poprzestać wypada? Masy powinny ożywić się dalej, szerzej, a szerzej. A co z Gazetą Świąteczną się stanie? Prawni moi sukcesorowie, żona i dziewięcioro dziatwy, postarają się może dalej ją wydawać, choćby dlatego, żeby nie mieć głodu. Więc wychodzić jakoś będzie, ale jak? Gdzie następca do mej pracy? Na jakiej on drogi pismo wprowadzi? Gdzie jakakolwiek gwarancja, że i jak odpowie zadaniu? Nie! Prosty rozsądek i troska o byt i dalszy rozwój sprawy, której początek zrobiony, nie pozwala mi poprzestać na takiej drodze. Więc jakaż inna? Oto:

„2. Pókim żyw i nie wyczerpany jeszcze z sił do pracy, powiniennem przekazać Wydawnictwo Gazety Świątecznej komuś pewnemu, kto dalszymi jej losami przejmie się, zainteresuje bezpośrednio, kto ważność jej cenić potrafi i będzie nad jej redakcją czuwał. Jeśli kogoś takiego znajdę i wydawnictwo będzie ode mnie przyjęte, wtedy przygotuję pewien zapas materiałów do druku, zorganizuję z tych sił, jakie już są i może przy pomocy kogoś nowego redakcję zastępczą, tymczasową i oddam się na parę miesięcy kuracji zaleconej przez lekarzy. Następnie wypocząwszy i wzmocniwszy się na zdrowiu rozpocznę pracę nad przysposobieniem teoretycznym i praktycz-

nym odpowiednich kandydatów do dalszego prowadzenia Gazety Świątecznej. O ile mi też czas pozwoli, będę sam jej współpracownikiem (choć już nie redaktorem, ani wydawcą). Jednocześnie też wezmę się do wykończenia i puszczenia w świat paru dziesiątków mych prac i wydawnictw książkowych, które uważam za potrzebne, a dziś dla braku czasu zaniedbywać muszę.

„Taki jest mój plan i sprawę tę całą uważam dziś za najważniejszą i najpilniejszą w dziedzinie wydawnictw, mających na celu rozwój duchowy szerokich mas naszego narodu. Wobec tej sprawy wszelkie inne wydawnictwa przy panujących dziś jeszcze wśród inteligencji naszej poglądach i przy siłach piśmienniczych, jakimi naród nasz rozporządza, wydają mi się rzeczami bardzo podrzędnymi i nie wiodącymi wprost do celu.

„A teraz wracam jeszcze do pierwszego okresu w drugim punkcie, dotyczącym dróg, jakie widzę przed sobą. Nadmieniałem tam o potrzebie przekazania wydawnictwa Gazety Świątecznej komukolwiek. Jak i na jakich warunkach może się ono odbyć? Sam dla siebie potrzebuję niewiele, ale mam liczną rodzinę i wychować muszę gromadkę dzieci. Pozbywając się jedynego sposobu do życia i utrzymania rodziny muszę też jej los zabezpieczyć. W tym celu wartość Gazety Świątecznej musi być oszacowana i przekazanie jej w inne ręce może się odbyć drogą spłaty pieniężnej. Lecz kto ma być jej nabywcą? Gazeta nie jest zwyczajnym towarem na sprzedaż. Jej powodzenie i cele nie przestaną mnie i nadal obchodzić. Chciałbym więc koniecznie upewnić się, że pójdzie ona dalej w tym kierunku... Chciałbym też uchronić Gazetę Świąteczną od częstego przechodzenia z rąk do rąk. Dlatego nierad bym odstępować jej jednej osobie, lecz pragnę ją przekazać liczniejszemu gronu ludzi z różnych sfer, którzy by utworzyli spółkę udziałową z udziałem np. po 1 000 rubli. Mógłbym i sam do tej spółki należeć, biorąc jakiś udział na siebie.

„O materialny byt Gazety Świątecznej i jej współwłaścicieli żadnego powodu do obaw nie widzę. Najcięższe pod każdym względem lata Gazeta Świąteczna przetrwała, więc według wszelkiego prawdopodobieństwa nieprzewidzianych przeszkód na swej drodze nie napotka. Wspólnicy będą też mieli od swych udziałów zysk pewny. Gdyby Gazeta Świąteczna zatrzymała się tylko na tej liczbie przedpłatników, jaka jest w tym roku — czego nawet nie przypuszczam, bo dotąd liczba ich z każdym rokiem się zwiększa, to zysk czysty do

podziału, po opędzeniu wszelkich kosztów wydawnictwa, honorariów autorskich itd. wynosiłby minimum 6 000 rubli rocznie. Książki rachunkowe i dowody rozumie się są do sprawdzenia. Na uwadze zaś mieć należy nie tylko spodziewany prawie na pewno wzrost liczby przedpłatników, a stąd i zysk przy dotychczasowym stanie Gazety, ale jeszcze i nie wyzyskane wcale przeze mnie sposoby podniesienia poczytności pisma i dochodu z niego. Oto: 1. można pozyskać prawo umieszczania w Gazecie ilustracyj, na czym pismo zyska wiele w oczach mas; 2. można przy Gazecie drukować choćby cały arkusz dodatku z ogłoszeniami płatnymi, o które przy takiej ilości nakładu bardzo łatwo; 3. spółka niechybnie znalazłaby większe poparcie dla Gaz. Świąt. w kołach inteligencji za pośrednictwem i swych osobistych stosunków, i pism dla inteligencji wydawanych, z którymi ja przy moim braku sprytu i czasu wolnego żadnych stosunków nie utrzymywałem.

„Ludzie więc zasobni w grosz na udziały, jeśli taką spółkę utworzą, podtrzymując i utrwalając pracę rozpoczętą... spełnią przysługę społeczeństwu, do jakiej mają obecnie wyjątkową sposobność, przysługę stokroć donioślejszą od wielu innych przedsięwzięć, o których dużo się mówi i pisze; — z drugiej zaś strony, o czym jestem najmocniej przekonany, zrobią jednocześnie dobry interes finansowy.

„Planu, o którym Ci donoszę, prawie przed nikim jeszcze nie rozwijałem. W odpowiedzi zaś na Twe zapytanie komunikuję go Tobie w tej myśli, azali i tam w Twym sąsiedztwie ci, którym sprawa wydawnictw istotnie pożytecznych leży na sercu, nie uznają trosk moich za słuszne, a planu mego za dobry... Polecam to Twej pieczy i uznaniu. Czas jest drogi, siły moje niepewne, wiadomości od Ciebie będę rychło oczekiwał“.

Są ślady prób utworzenia takiej spółki, ale zdaje się, że w końcu do tego nie doszło. Promyk poszedł ostatecznie pierwszą drogą, to jest borykał się nadal sam, by w pewnym momencie paść martwy jak żołnierz na posterunku. Pod koniec życia od r. 1900 znalazł podporę w synu, Tadeuszu, który przejął po nim tę zaszczytną spuściznę.

Nieodparcie nasuwa się tu jedno pytanie. Czemu Promyk nie szukał współpracowników wśród najwierniejszych swoich przyjaciół — czytelników pod chłopską strzechą?

Jest u schyłku życia odpowiedź jego w tej sprawie. Zapytany raz przez korespondenta jednego z pism o współudział chłopów w Gazecie Promyk odpowiedział:

„Są to listy przygodne, dorywcze, niekiedy bardzo cenne, ale służą jedynie za materiał do odpowiedniego redagowania tych korespondencji. Zdarzają się jednak i talenty wybitne, takim był np. Mośiołek z Radomskiego. Rwał on się do samej redakcji, ale sprzeciwiałem się temu. Nie chciałem, aby ten kmieć stawał się najemnym pisakiem warszawskim, pragnąłem, aby został na roli, swoje wpływy w czynie szerzył“.

Nie chciał Promyk chłopów od roli odciągać.

Został sam.

CZŁOWIEK

Jest w spuściźnie rękopiśmiennej Promyka drobny, ale wiele mówiący dokument. Strzep — urywek myśli, jakby mimochodem rzucony na kartkę papieru:

„Wziąłem się do pracy mojej dzisiejszej nie z powołania, ale z przekonania i z rozważenia oraz wybadania szczegółowego potrzeby społeczeństwa naszego. Wziąłem się nie dlatego, żebym czuł talent odpowiedni w sobie i wewnętrzny pociąg do tego rodzaju pracy. Nie z popędu wewnętrznego (jak zwykle artyści, poeci, literaci, kapłani itp. obierają sobie drogę) poszedłem, ale przymusiłem i wciąż przymuszałem siebie do służenia potrzebom na zewnątrz mnie leżącym. Takiego przymusu płodem są prawie wszystkie moje pisma. Popęd wewnętrzny na innego rodzaju drogę mię parł i po trosze wciąż prze jeszcze, ale na drogę, o której przekonałem się, że nie może doprowadzić do celu i mniej jest ważna i pilna, póki ta droga, po której ide, jest zaniedbana zupełnie, lub obsługiwana źle“.

Urywek nie kończy myśli i nigdy już nie dowiemy się, jaki to popęd, jaką tęsknotę złożył Promyk na ołtarzu służby swej dla ważniejszych i pilniejszych potrzeb narodu. Można jedynie snuć domysły, że były to hodowane od młodych lat pragnienia pracy naukowej, na które w ciężkiej codziennej orce nigdy nie było chwili wolnego czasu. Można by te pragnienia widzieć i w owym liście do przyjaciela, w którym pisze, że po odstąpieniu Gazety wzięłby się do „wykończenia i puszczenia w świat paru dziesiątków mych prac i wydawnictw książkowych“.

Może marzyła mu się jego od młodych lat ulubiona geografia.

Trudno orzec, czy na naukowej drodze byłyby mu sądzone podobnie obfite plony, jakie wyniosła jego praca na polu kultury ludowej. Natura wyposażała go bogato. Umysł nieprzeciętny, bardzo jas-

ny, dokładny, przenikliwy, ujmujący zawsze jądro, istotę sprawy. Przedziwna przy tym zdolność łączenia w sobie trzeźwości i wytrwałości sądu z dużym polotem; chłodnej, jasnej, mądrej głowy z gorącym sercem.

Sam dobrowolnie przekreślił swe naukowe plany, wyrzekł się wszelkich w tej dziedzinie tęsknot i ambicji. Jeśli zajmował się tematami naukowymi, to czynił to zawsze tylko dla zapoznania z nimi szerokich rzesz swych czytelników. Wszystkie jego pisma mają charakter dzieł popularnych.

Zakres ich jest bardzo szeroki. Najwięcej bodaj broszur napisał Promyk z dziedziny geograficzno - przyrodniczej. W nauce o ziemi czuł się w swoim żywiole, a ziemię tę opisywał coraz to inaczej, czasem jako pyłek we wszechświecie, częściej jako olbrzymią kulę ziemską, a najczęściej i najgoręcej jako tę najbliższą sercu szarą polską skibę. Z tego źródła wzięła też swój początek jedna z najwcześniejszych i najbardziej znanych jego książeczek: „Stopniowe opisanie Świata“.

Potem przyszły dalsze: „O słońcu, gwiazdach, planetach, księżycu i zaćmieniach“, „O narodach i rasach ludzi na całej ziemi“, „O Krzysztofie Kolumbie i odkryciu Ameryki“, „Podróż Nansena do północnego bieguna ziemi“, „Ciekawe zjawiska w świecie, co choć ludzie ciągle na nie patrzą, ale zwykle ich nie rozumieją“, dalej rolnicze: „Jak zbierać mierzwę i urządzać gnojownię“ itd.

Od opisu ziemi niedaleka już droga do jej dziejów. Historycznych książek napisał Promyk niewiele, właściwie jedną tylko: „Dziejów Polskich podstawa, czyli księga pierwsza“, ale żywotów sławnych Polaków jest kilka jego pióra: „O księdzu Stanisławie Staszicu, synu mieszczańskim, który wiele dobrego krajowi czynił“, „Jan Kochanowski, jego pieśni i pamiątki po nim“, „O Kraszewskim, wielkim pisarzu polskim“.

Dość często poruszał Promyk w swych broszurach tematy prawnicze. Najbardziej znana była książeczka pt. „Rozmowy Kazimierza z Wojciechem o tym, co każdego obchodzić powinno“, o obronie praw szkolnych. Poruszał też i sprawy gospodarcze: „O pożyczkach i kasach pożyczkowych po wsiach i miastach“.

Bardzo poczytne były wydawane przez 12 lat przez Promyka kalendarze książkowe pod tytułem „Gość“. Przestał je wydawać z powodu trudności, stawianych mu przez cenzurę.

Nieobce było Promykowi w ogóle wszystko, co tylko mogło świecić w głowach rozniecać i serca ludzkie ku dobremu rozgrzewać. O popieraniu czytelnictwa trudno tu nawet wspominać, to była przecież jedyna i wyłączna myśl jego i praca całego życia.

Zalety i usterki Promykowej działalności pisarskiej? O zaletach była już mowa wyżej. Powtarzać tego chyba nie potrzeba. Wady? Któż ich nie ma? Miał je i Promyk. Różnego rodzaju spotykały go zarzuty.

Niezrozumiałe wydaje się np. pominięcie w życiorysie Kochanowskiego jednego z najważniejszych utworów poety — „Odprawy posłów greckich“.

W jednym ze swych kalendarzy użył Promyk zwrotu „Słońce posuwa się po niebie“... Zaatakowało ten zwrot jedno z czasopism warszawskich, zarzucając autorowi nieścisłość. Wywiązał się z tego cały spór, bo Promyk wystąpił w obronie praw popularyzatora, któremu rzekomo wolno jest użyć na początku niezupełnie choćby ścisłych zwrotów, jeśli okażą się one łatwiejsze do zrozumienia dla słabo rozwiniętego czytelnika, by później w dalszych wywodach sprostować je i wytłumaczyć rzecz w należyтым oświeceniu. Atakującemu nie trafiły te wywody Promyka do przekonania i raz jeszcze stwierdził, że nieścisłość jest zawsze i pozostanie nieścisłością, a więc grzechem, którego żadna popularyzacyjna potrzeba zmyć nie może.

O ile ten w naukowym tonie utrzymany spór nie mógł być Promykowi przykry, o tyle bardzo ciężkim przejściem musiał być dla niego zarzut, z jakim wystąpiła w tym samym mniej więcej czasie, tj. w r. 1880, wychodząca we Lwowie „Gazeta Narodowa“. Poszło o broszurę: „Rozmowa Kazimierza z Wojciechem o tym, co każdego obchodzić powinno“. Promyk napisał ją, by zachęcić chłopów do występowania w obronie praw szkolnictwa polskiego, zagwarantowanego przez prawodawstwo rosyjskie, które to prawa łamane były nieustannie przez samowolę władz administracyjnych.

Należy zaznaczyć, że broszura ta została odrzucona przez warszawskie władze cenzuralne; wypadło ją drukować w Petersburgu, gdzie cenzura była znacznie łagodniejsza niż w Warszawie.

W parę miesięcy po ukazaniu się broszury ogłosiła „Gazeta Narodowa“ obszerny artykuł pt. „O tym, co każdego obchodzić powinno“. Po dłuższym wstępie o deptaniu świętości narodowych, zatrutym duchu itd., następuje niesłychanie ostry atak na książkę Promyka.

„W tej książeczce — czytamy — pod pozorem nauki o prawach i przywilejach wiejskich trucizna dla ludu. Autor porusza kwestie, o których zdrowy rozsądek i prosta uczciwość zamilczeć kazały pod cenzurą. Trudnoż tam ludowi dowodzić, że każda ustawa moskiewska nosząca miano prawa jest bezprawiem, że ustawy nadane gminom mają cel ukryty, a zgubny dla włościan. Ale dłaczegóż pan K. Promyk podnosi szereg ukazów do systemu prawodawstwa, a każdy ukaz nazywa prawem? Niedosć na tym! Opowiada ludowi o „szczęśliwie dziś panującym cesarzu wszech Rosji i królu polskim Aleksandrze II“, jako o mądrym, sprawiedliwym prawodawcy, szczególnym opiece i dobroczyńcy ludu. W książeczce tej, zawierającej czterdzieści cztery stronic, o Najjaśniejszym cesarzu Aleksandrze, o Najjaśniejszym Panu i Jego „Najwyższej woli dbającej o sprawiedliwość i dobro gmin“ wspomniął dwadzieścia sześć razy.

„Pan K. Promyk tym sroższego godzien potępienia, iż zdradziecko wdarł się w zaufanie publiczności, ażeby w końcu z takim pismem wystąpić. Odtąd więc każdy pism jego wystrzegać się powinien jako zarazy ducha i żądać od niego, aby lud nasz uwolnił spod swej opieki“.

Zdradziecko wdarł się w zaufanie?... Wystrzegać się zarazy ducha??...

„Gazeta Narodowa“ znalazła się z różnych zresztą pobudek w jednym obozie z cenzurą warszawską wydając z nią wspólny wyrok: broszura Promyka jest zgubna i godna ostrego potępienia.

Cenzura warszawska okazała się w tym przypadku nieoczekiwanie mądra i przewidująca. Zorientowała się w treści broszury i uznała ją za niebezpieczną dla spokojnego bytowania urzędniczej samowoli w Królestwie Polskim.

„Gazeta Narodowa“ uderzyła w formę i dla formy potępiła treść, miesząc przy tym z błotem w sposób niepraktykowanie ostrej i bezwzględny jednego z najczystszych ludzi w Polsce.

Że Promyk zgrzeszył niedopatrzaniem formy, to nie ulega wątpliwości. Na stronie 10 słowo cesarz występuje nieledwie w każdym zdaniu, co istotnie wywołuje wrażenie pewnego spoufalenia się z tą postacią. Cenzura nie miała widocznie nic przeciwko wyrażeniu „cesarz“, skoro zgodziła się na taką formę (na str. 12), po cóż więc na innych stronach występuje wiernopoddaniczy dodatek i to w różnej postaci: N. Cesarz, Naj. Cesarz i Najjaśniejszy Cesarz?

Sprawa narobiła wiele wrzawy. Broszurę swą wydał Promyk, chcąc pobudzić społeczeństwo do legalnej obrony języka polskiego w szkole ludowej. Prawodawstwo rosyjskie uznawało wprowadzić język polski jako wykładowy w szkole elementarnej, ale prawne przepisy nie były wykonywane i w praktyce dzięki bierności społeczeństwa nauka odbywała się po rosyjsku.

Broszura tedy narobiła wrzawy. „Władze miejscowe — pisze o tym Promyk — zrozumiwały o co idzie, bały się tej książeczki, ale prasa warszawska i za nią „inteligencja“ zrozumieć nie zdołały celu i zamiast całą siłą poprzeć sprawę paraliżowały ją w zarodku... Skutek był taki, że zamiast tego, żeby setki gmin na wolę cesarską się powoływały i wystąpiły przeciwko bezprawiu, zdobyły się na to zaledwie trzy gminy, bo do innych „inteligencja“ nie dopuściła. Owe też trzy gminy na razie wygrały sprawę, postawiły na swoim, pozwolono (milczeniem) w nich wykładać po polsku i czekano z niepokojem, co dalej będzie; ale że nic nie było, więc ośmielono się uzyskać dwa nowe artykuły prawa przez rozporządzenie ministerialne „najwyżej zatwierdzone“, usankcjonowano bezprawie, przeciw któremu ogół się nie opierał i sprawa przepadła“.

Innymi słowy władze rosyjskie postarały się o wprowadzenie do prawodawstwa szkolnego nowych paragrafów, na mocy których język rosyjski w szkole uzyskiwał oparcie w przepisach prawnych i tym samym przestawał być bezprawiem.

Czego Promyk nie napisał, to tego, że to przejście było pewno jednym z najboleśniejszych przeżyć w jego i tak niełatwym życiu. Echem tego jest napisana później „Przypowieść“, w której skarży się na kamienie ciskane mu pod nogi nie tylko przez obcych, ale i przez swoich.

Nie mówiliśmy dotąd o prywatnym życiu Promyka, o jego sprawach rodzinnych, jego zwyczajach, usposobieniu itd. Ma to swoje uzasadnienie w tym, że działacz, nauczyciel szerokich warstw narodu przesłonił całkowicie człowieka. Jego ludzkie rysy, jego życie osobiste ginie, pochłonięte przez działalność oddaną służbie publicznej. Powiedzieć to trzeba, niestety, także i o spuściźnie rękopiśmiennej po Promyku. To, co zostało po nim, dotyczy niemal bez wyjątku tej działalności; wizerunek człowieka odtwarzać trzeba z okrucich, z ustnej tradycji rodziny i z drobnych strzępów rozsianych tu i ówdzie w papierach.

Późniejszy Promyk wyniósł z pobytu na Syberii dobrą zaprawę fizyczną, nauczył się doskonale konnej jazdy i wszelkich sportów wodnych. Z obojętnością Warszawy lat siedemdziesiątych dla sportu, a zwłaszcza z jej odwróceniem się plecami do Wisły nie mógł się pogodzić. Na konną jazdę nie było go stać, ale wodne sporty jął krzewić wśród kolegów z całym zapałem. Paroletnia działalność jego w tym kierunku przyniosła owoce w postaci założenia Towarzystwa Wioślarskiego; Promyka można uważać za jednego z jego współtwórców.

Z czasem, gdy warunki materialne pozwoliły na to, wrócił i do konnej jazdy i robił wielkie wyprawy konne w Grodzieńskie oraz na Suwalszczyznę. Nie gardził zresztą Promyk i pieszym sportem odbywając, jako się już rzekło, liczne wycieczki po kraju. Po każdej z nich przybywał nowy gruby zeszyt notatek, a w duszy nowa mocna nić, wiążąca go z wsią polską.

Mijały lata. Coraz mniej czasu ma Promyk na owe odprężenia duszy w zdrowym wysiłku mięśni. Coraz mocniej przykuwa go do siebie biurko redakcyjne. Wypadło rozstać się z ulubioną wierzchówką, Karusią. O stopniu przywiązania do zwierząt, czy też może do tego specjalnie zwierzęcia, świadczy niebywały fakt, zaobserwowany ze zdumieniem przez rodzinę. Oto Promyk stracił parę godzin czasu na wyczekiwanie na przemarsz swej Karusi, już wówczas sprzedanej, która miała przedelfilować przed oknami pod siodłem nowonabywcy.

Jak prostym był Promyk w tym co pisał, tak prosty i niemal surowy był jego codzienny tryb życia. Ubranie skromne, ciemnoszare, z niskim kołnierzykiem najchętniej miękkim, w domu na codzien czamara zapinana pod szyję bez szamerowania, bez żadnych ozdób. Nienawidził fraka. Musiał się wien stroić na wizyty u prezesa cenzury, ale była to dla niego ciężka ofiara. Na wesele krewnego zdecydował się jechać, gdy dostał telegraficzne zwolnienie od fraka. „Mył się b. porządnie — słowa córki — przestrzegał czystości we wszystkim. Talerz do stołu parzyło się gorącą wodą. Podobnie jak ubranie — i jedzenie lubił proste, szczególnie to, co matka w dzieciństwie Ojca robiła, jakiś mazurek w wodzie podchodzący, najmniej wyszukany, a przypadkiem odkryty... grochówkę, krupnik, bób, chleb razowy. I herbatę. Musiała być dobrze zaparzona i gorąca.

„Ojciec rozmijał się z zegarkiem i zapamiętywał się w robocie... rzecz musiała być należycie obmyślona, wszystko inne precz! Nie na robocie robił uszczerbek, ale na spaniu, które nie mieściło się w czasie.“

Pochłonięcie pracą powodowało rosnące z biegiem lat odosobnienie od rodziny. Dzieci nie widywały go prawie wcale, prawie nigdy też nie jadał obiadu razem ze wszystkimi przy stole. Zlikwidował też niemal doszczętnie, wszelkie stosunki towarzyskie, wyjąwszy, rzecz prosta, stosunki z drugą „Świąteczną Rodziną“, która zajmowała mu zawsze moc czasu.

Ach ten czas. Jakże obrazowy, dramatyczny wręcz jest ustęp z jednego z listów Promyka, w którym tłumaczy się on ze zwłoki w odpowiedzi.

„Chciałem i miałem, zdaje się, zaczynałem pisać, lecz nie mogłem, a to z tego samego powodu, dla którego stosi kilku tysięcy listów i to po większej części dość ważnych, nie tylko prywatnie, ale społecznie ważnych leżą, jako pamiątka i nieustanna tortura mej duszy, szarpiąc ją wyrzutami, że tyle odpowiedzi niedanych, tyle spraw zaniedbanych, tylu ludzi obrażonych lub zrażonych. Nie napisałem do nich wszystkich nie przez lekkomyślność, ani tym podobne przyczyny, ale dlatego, że nie mogłem, nie mogłem, nie mogłem, nie starczyło mi sił, czasu i umiejętności“...

Promyk „pracował z trudem — pisze o ojcu córka — nie miał łatwości pisania. Czytał również powoli, ale ze wszechstronnym opanowaniem przedmiotu. Potrzebował do pracy zupełnego spokoju — pracował przeważnie w nocy, kiedy nikt nie przeszkadzał. Każda przerwa — pytanie — rozmowa zrywała wątek myśli. Żeby go nawiazać z powrotem, potrzebował ze dwóch godzin. Dostać się do niego było trudniej niż do papieża, jak powiedział ktoś przyjezdny zirytowany daremnymi próbami. Inny przyjezdny przyszedł po północy i to źle trafił, gdyż czuwanie nocne nie było regułą.

„Był opanowany. Nigdy nie gniewał się na służbę ani na dzieci, choć zdarzało się, że któreś ukarał. Od współpracowników wymagał zupełnego przystosowania się. Dobrą wolę mieli, ale burę nieraz dostawali, zwłaszcza jak przeszkrobali w czasie Ojca nieobecności. Zecerzy mieli szkołę cierpliwości. Miał w nich oddanych, po prostu ideowych pomocników. Stąd ich cierpliwość i wytrwałość, a także gotowość do wprowadzenia uzasadnionych zmian, jak spójki (podwójne litery), co zmieniał im porządek w kasztach. Spólnie z nimi naradzał się nad tym i obliczał, ile przybędzie, dzięki spójkom, miejsca w numerze na pożyteczne rzeczy.

„Był milczący. Raz przyjechał do Warszawy młodszy brat Promyka, Maksymilian, student uniwersytetu w Rydze (wówczas). Bra-

cia siedzieli do późna w milczeniu. Wreszcie wchodzi siostra, Zenia: „No, bracia Prószyńscy, dosyć nagadaliście się. Spać!”

I jeszcze jedno wspomnienie córki: „Kiedyś poszłam do Tatusia na dobranoc. Przerwał pisanie i mówi: „Co najważniejsze dla kobiety? Żeby była dobra“. Miałam ze trzynaście lat wtedy.”

Promyk był dwa razy żonaty; za pierwszym razem z Cecylią Puciatówną, która w parę lat po ślubie zmarła w r. 1884 mając 27 lat i pozostawiła mężowi czworo dzieci. Po raz drugi ożenił się Promyk w r. 1886 z Wandą Korzonówną, córką znanego historyka polskiego, Tadeusza Korzona.

Z drugiego małżeństwa miał dzieci siedmioro. Najstarszy syn, Tadeusz, najbliższy współpracownik ojca w ostatnich latach jego życia, był później, po śmierci Promyka, przez lat kilkanaście redaktorem Gazety Świątecznej. Za pracę oświatową wśród chłopów więziony był w swoim czasie przez półtora roku w X pawilonie cytadeli warszawskiej i zesłany potem na 3 lata do Archangielska. Zmarł w roku 1925.

Po charakterystyce poszczególnych ogniw ciężkiego, przeładowanego pracą Promykowego żywota przychodzi teraz pokusa dać zarys całokształtu tej prostej, a mocnej jak skała postaci.

Nie było w Polsce człowieka, przynajmniej w dobie niewoli, który by dorównywał Promykowi w jednolitości drogi, którą on szedł przez życie. „Jedna myśl, jedna praca — pisze o nim w pośmiertnym wspomnieniu A. Potocki — od szkolnej ławy do grobu, to siła niespożyta. Najprostsze wypróbowane cisną się tu porównania: o kropli wody żłobiącej skały, o żyłkach mikroskopijnych wznoszących góry”... Proste Promykowe słowa były owymi kroplami wody żłobiącymi twardą, zaschłą w niewoli narodową glebę, były żyłkami zmieniającymi krajobraz społeczny w Polsce.

Miał lat siedemnaście, gdy przybył z Syberii do Warszawy. Bódaż zaraz w pierwszym liście do rodziców, po zdaniu sprawy z kroków poczynionych w nowym, nieznanym sobie jeszcze środowisku, kreśli zaraz zasady, jakich zamierza trzymać się w życiu:

„Jestem jeszcze tak młody — pisze — lecz już rozmyślałem nad sobą i przyjąłem już niektóre zasady, których już stale zacząłem się trzymać. Kilka z nich jest następujących:

„Nie być chciwym mamony i nie poświęcać dla niej szlachetności.

„Nie wdawać się w gry hazardowe, pijatykę i w inne większe lub mniejsze łajdactwa.

„Nie być skąpym, lecz oszczędnym. Oszczędniejszym dla siebie niż dla drugih.

„Nie być pochlebcą (wielu tej zasady trzyma się, lecz niby tylko).

„Hołd oddawać nie bogactwu i urodzeniu, lecz zasługom.

„Dane słowo święcie dotrzymać (zatem dawać je wtedy tylko, kiedy jestem pewnym siebie).

„Z tajemnicy mnie wiadomej nikomu literalnie się nie zwierzać.

„Więcej robić niż mówić.

„Na szkodę osobistego przyjaciela nie robić i nie mówić.

„Nie chwalić się i nie być zarozumiałym.

„Jak na tych zasadach wyjdę, nie wiem. Mogę być złamanym, ale nie zgietym. Kto nie jest gibki, zwykle wiele pocisków musi wytrzymać... Postanowiłem Wam jako rodzicom wyłuszczyć te zasady, byście w razie zbytecznego mnie potępienia, Wy przynajmniej nie dawali wiary złości. Wasz syn i brat Konrad.“

Powie kto na to: młode, siedemnastoletnie, naiwne, marzycielskie.

A jednak porównując z poglądami młodego Promyka — życie starego możemy, zdaje się, z całą uczciwością stwierdzić, że stary Promyk czynami swymi ani jednego bodaj słowa, wypowiedzianego w młodzieńczym liście, się nie wyparł.

Na czoło charakterystyki Promyka wysunąć trzeba chyba hart. Twardy był jak granit. Twardy dla siebie, twardy dla towarzyszy pracy.

Z twardości tej, z „uwzięcia“ płynęła jego siła, jego zwycięstwa, jego niezłomna, niepokonana wiara w ideał, któremu służył bez wań, bez najmniejszego odchylenia od raz obranego kierunku.

Tą samą wszakże twardością piętrzył Promyk sam przed sobą przeszkody. Jak tylu wybitnych ludzi niełatwy w życiu, niezdolny do zespołowej pracy w gromadzie, łatwo zrażał do siebie towarzyszy, tym bardziej że zapatrzony w swój cel nie godził się, z maniakim już nieraz uporem, na żadne najdrobniejsze nawet odchylenia od wytkniętych przez siebie dróg do tego celu i nagiął do nich przymocą swych towarzyszy pracy. Kto się nie dał nagiąć, odpadał — z wiekiem ta bezwzględność rosła — łamały się w niej i zrywały naj-

serdeczniejsze, najgorętsze węzły przyjaźni, zadzierzgnięte jeszcze w młodości.

Rosła też i płynąca z tego gorycz wewnętrzna. Jest list Promyka z r. 1899 pisany być może w momencie szczególnego przygnębienia, w którym mówi o sobie m. in.: „...całe społeczeństwo, cały naród, cała jego „inteligencja“ przeciwko tobie, cała bez wyjątku, którego nawet osobiści twoi przyjaciele nie stanowią. Oto bicie za twoje myto... a z twojej lichej gazetki też „inteligencja“ nic przecie nie czerpie, brać nic nie może, czasu na czytanie tego tracić nie będzie, bo to nie dla niej, to idiotyczne, to tylko dla — „ludu“ niech on sobie czyta, jeśli gdzie chce“.

Zrozumiałe się staje, że odtrutką na tę gorycz była Promykowi jego praca, listy: „proszę Redakcji przyjaciółki mojej...“, obcowanie bądź osobiste, bądź korespondencyjne z wielkim tłumem prostych, szarych, siermiężnych przyjaciół.

Od warsztatu nie odejdzie, aż póki go nie oderwie od niego siła wyższa — śmierć.

Wytknięcie sobie celu już od najwcześniejszych lat i wierne trzymanie się raz obranej drogi przez całe życie nie mogło nie wpłynąć na ukształtowanie się politycznego programu Promyka. Przeżył on wraz z innymi klęskę powstania styczniowego; po przyjeździe do Warszawy znalazł się w otoczeniu ludzi, którzy niemal jednomyślnie potępiali ów „nieszczęsny poryw“. Pojawiły się nowe hasła, które dały początek nowemu prądowi, zwanemu pozytywizmem. Ludzie rozmawiali w ten sposób: Dość już tego szału, przelewu krwi, ruin, zniszczenia kraju. Trzeba temu krajowi dać odetchnąć, odrodzić się gospodarczo, dźwignąć go społecznie i kulturalnie. Pociągało to za sobą konieczność pogodzenia się z losem, z niewolą, wyrzeczenia się na przyszłość wszelkich mrzonek powstańczych, zapomnienia nieledwie imienia niepodległości Polski.

Niektórym jednostkom dyktowała te hasła prawdziwa troska o los zrujnowanego, zdziczałego, zapuszczonego pod każdym względem kraju, inni — i tych było nieporównanie więcej — wysuwali je tylko pozornie, by pod tą przykrywką łatwiej, pewniej i swobodniej mnożyć swe prywatne bogactwo.

Promyk nie rzucał klątwy na powstanie, próbował tylko wytłumaczyć sobie przyczyny klęski, by zrozumiałwszy je stanąć do pracy nad odrobieniem błędów społeczeństwa. Idei niepodległości Polski

ani na chwilę z oczu nie tracił, szukał tylko nowych dróg do niej, lepszych niż dotychczasowe.

„Co było przyczyną, pisze, żeśmy dotąd samych zawodów doznawali, że nam się żadne powstanie nie powiodło. Dociec powodu nie trudno. Przypatrzmy się tylko wszystkim wysileniom, poczynsz od konfederacji barskiej aż do ruchów ostatnich, a wszędzie mnóstwo błędów rażących dojrzymy. Czy w którymkolwiek powstaniu były czynne wszystkie siły narodu, czy do któregokolwiek z nich naród występował stosownie przygotowany i czy były one wywołane przez li tylko wewnętrzne przekonanie ogółu, czy wśród któregokolwiek z nich zamilkły nawzajem się nienawidzące stronnictwa i czy chociaż raz dotychczas nie powodowała nami błaha nadzieja jakiejś pomocy z zagranicy, w którą ufność była zawsze daleko mocniejsza niż siły własne? Oto zwykle pewna część naszego narodu po dość długim przeciągu czasu straconym na niczym, na zupełnej bezczynności, bez najmniejszego przygotowania, bez żadnej organizacji, nieświadoma bynajmniej sił swoich, spostrzegłszy nagle jakiś błędny ognik zwodniczej nadziei, pełna chwilowego zapału występowała jawnie przeciw gotowym wrogom i szła na rzeź prawie. Cóż dziwnego, że klęska była uwieńczeniem dobrych chęci, szlachetnych dążeń, a kraj się pogrążał w większe niż przedtem nieszczęście.

„Zaprawdę dziś naród nasz stoi bliżej przepaści niż przedtem, ale to niech nas tym bardziej pobudza do pracy nad jego ocaleniem, przeszłe niepowodzenia niechaj w nas nie niszczą nadziei i wiary w powstanie ojczyzny.“

Te rozważania wiodły Promyka do następujących wniosków:

„Wysnułem w sobie nowy pogląd na położenie nasze:

1. Że należy pohamować w sobie uczucie nienawiści, żądzę pomsty zbyt często zaślepiające nas, a kierować się tylko miłością ojczyny i względami pożytku dla narodu;

2. Że błędne i zgubne są nasze mniemania o ojczyźnie, o Polsce w grobie i jej przyszłym zmartwychwstaniu. Ojczyzna Polska nie umarła bynajmniej, nie potrzebuje cudów dla wskrzeszenia jej, ale żyje nieustannie, bo ojczyzną jest naród i kraj, nie forma państwa. Za dużośmy poświęcali dla formy, a za mało, prawie nic dla istoty rzeczy. I tu źródło klęsk naszych porozbiorowych.“

Z chwilą, gdy Promyk raz powziął takie przekonanie, stanął odrazu całą duszą w służbie tej „istoty rzeczy“, tj. w służbie kultury

i uświadomienia narodowego mas i żadna siła nie byłaby zdolna oderwać go od tej służby.

Za naczelną cechę tej służby uważał bezstronność polityczną i przez całe życie starał się przestrzegać tej bezstronności, choć go za to boleśnie atakowano i z prawa i z lewa.

Służbę swą zaczynał w chwili najcięższej, gdy przeciwko niej sprzysięgły się wszystkie, zdawałoby się, moce. Straszliwa przemoc carska i cięższa może jeszcze, a przynajmniej przykrzejsza od niej niemoc własna, sen i bezwład wyczerpanego powstaniem społeczeństwa. Promyk stanął do walki sam jeden, zbrojny tylko w swój zapal, w swój twardy kresowy upór, w swą niespożytą wytrwałość i zuchwałą energię dwudziestoletniego młodzieńca. Wziął kredę w rękę i ruszył ku ścianie stodoły malować litery.

I zwyciężył. W trzydzieści lat później zgromadził już u swoich liter cały nieledwie polski lud. Targnął nim, zbudził, dźwignął w górę, wyprostował, przywrócił mu jego wdeptane od pokoleń całych w błoto człowieczeństwo, oświecił, rozgrzał serce, wskazał drogę ku Polsce. Poruszył miliony ludzi. Dosłownie miliony, nie w przenośni, czy w tanim frazesie. W r. 1908 wyszedł jego elementarz w milionowej odbitce.

Tego wszystkiego dokonał jeden szary, prosty, samotny człowiek.

Byłoby błędem, a nawet krzyczącą niesprawiedliwością twierdzić, że był jedynym działaczem oświatowym owej doby.

Było ich wielu. Ale Promyk był pierwszym, był tym, któremu wypadło rozpocząć swą pracę po omacku, wśród najgłębszych ciemności, który umiał zwalczać przeszkody. Następcy Promyka mieli już najcięższą część drogi przetorowaną jego pracą.

Tak Promyk rozumiał „istotę rzeczy“ i tak jej służył. Aż do śmierci, która po dłuższej chorobie przyszła w dniu 8 lipca 1908 r.

Promyk zmarł mając 57 lat, a więc w wieku, w którym przeciętny człowiek ma jeszcze sporo lat życia i pracy przed sobą. Przygniótł go i przedwcześnie wcisnął w ziemię olbrzymi nie ludzki ciężar jego pracy

Prasa warszawska, która za życia Promyka nie szczędziła mu hojnie milczenia, po jego śmierci dała kilka mocnych wypowiedzi:

„...Zaiste był on jednym z proroków narodowych zsyłanych przez niebiosa w chwilach najcięższych doświadczeń“ (M. Brzeziński. *Po-budka*, 1908, Nr. 29).

„...Od pacholących lat, od pierwszego w półdziecinnej duszy prze-
błysku najdroższych dla męgo pokolenia pojęć Oświaty i Ludu pa-
miętam to imię — symbol. Skądciś z dalekich kresów, jak kilku in-
nych najczystszej pamięci szermierzy tej szarej doby, przywędrował
i ten osobliwy człowiek na bruk Warszawy. Przywędrował za tę-
sknotą kresowca, osadnika marzącego pierwej, nim ją się ujrzy, o Pol-
sce ludowej, mnogiej, jednolitej, gdzie grunt i lud zrosły się w jeden
żywiół, w jedną macierz. Tak myśleć o Polsce... umieją tylko kre-
sowcy i uchodźcy“ (Ant. Potocki. Głos Warszawski, 12. 7. 1908 r.).

„...Są ludzie, którzy wystarczają za instytucje. Człowiekiem —
instytucją takim był Promyk. Nie bardzo się nawet pamiętało o jego
nazwisku właściwym. Promyk oto jakiś torował sobie drogę wśród
grubej ciemności nad ludem polskim zawieszę“ (tamże).

„...I nie zgąśł Promyk, chociaż odszedł człowiek, lecz jakby
wsiąknął w potężniejące światło; jak wsiąkają przedświtowe skry
w czyniące się dokoła światło dnia“ (tamże).

„...Poznałem Prószyńskiego w okresie przełomowym, jaki nastą-
pił dla Polski po wojnie rosyjsko-japońskiej. Zrobił na mnie bardzo
silne wrażenie pustelnika, żyjącego poza światem, poświęcającego
wszystkie swe siły umiłowanej pracy. Był trudny w stosunkach
z ludźmi, bardzo surowy w sądzeniu siebie i innych, nie uznający za-
dnych kompromisów“. (St. Kozicki, Tęcza. 1931. Nr. 16).

„...Robaczek świętojański jeno nikłym na pozór świeci blaskiem
ale uczeni zbadali, że w porównaniu z drobnym organizmem owada
światelko to stanowi wynik kolosalnej pracy twórczej, czerpiącej swe
źródło w niespożytej energii ustroju.“ (Izraelita. 1908. Nr. 28).

„...Zmarły należał do rzędu tych ludzi, którzy w Żydach uznają
współobywateli i pragną szczerze braterskiego zbliżenia się i zsolida-
ryzowania obu odłamów naszego społeczeństwa“ (tamże).

PRZYPISY

I. OBJAŚNIENIA

- Argument — dowód w rozumowaniu.
- Astronomiczna cyfra — bardzo wielka, taka, jakich używają astronomowie przy obliczaniu odległości gwiazd.
- Autonomia — zakres praw i swobód politycznych, nadawany krajowi nie posiadającemu pełnej niezależności politycznej.
- Biali — Czerwoni — dwa stronnictwa istniejące przed powstaniem 1863 roku i podczas jego trwania.
- Brzeziński Mieczysław — 1858—1911. Przyrodnik, działacz społeczny i popularyzator wiedzy. Gorący rzecznik oświaty, szeroki mas ludowych. Towarzysz pracy Promyka w okresie Tow. Ośw. Narod. Długoletni redaktor „Zorzy” i autor szeregu książek popularnych głównie z zakresu przyrody.
- Frazes, deklamacja — słowa puste bez treści.
- Geologia — nauka o budowie ziemi.
- Higiena — nauka o czystości i zdrowiu.
- Hirszfeld Bolesław — 1859—1899. Studia przyrodnicze w Warszawie i w Zurichu. Wybitny działacz oświatowy i społeczny na terenie Warszawy.
- Kalkulować — rachować.
- Kasza — używana w drukarniach płaska skrzynia z przegródkami. W każdej przegródce leżą czcionki innej litery.
- Katechetycznie — w postaci pytań i odpowiedzi.
- Kochanowski Jan — 1530—1584 Pierwszy prawdziwie wielki poeta polski. Kształcił się w Krakowie, potem we Włoszech. Najślawniejsze z dzieł: „Odprawa posłów greckich”, „Treny”, „Psałterz Dawidowy”.
- Koncesja — pozwolenie władz.
- Konfederacja barska — pierwsze powstanie polskie z lat 1768—1772 przeciwko mieszanu się Rosji w wewnętrzne sprawy Polski.
- Krytyka tendencyjna — prowadzona w narzuconym z góry kierunku.
- Lektor — nauczyciel języków.
- Mamona — pieniądze
- Mantyctwo — skłonność do zrzędzenia.
- Mekka — miasto w Arabii słynne z pamiątek po proroku Mahomecie. Do Mekki pielgrzymują rokrocznie setki tysięcy mahometan z całego świata
- Myto — opłata drogowa w dawnej Polsce. Jest przysłowie „za twoje myto jeszcze cię obito”, używane w wypadkach, gdy kogoś za jego usługę spotka niewdzięczność.
- Neologizm — nowoutworzona forma językowa.
- Pedagogiczne — nauczycielskie, zajmujące się sprawami nauczania i wychowania.
- Periodyczne pismo — ukazujące się w stałych odstępach czasu, tygodniowych, miesięcznych itd.

- Pławiński Józef** — 1854—1880. Jeden z twórców socjalizmu polskiego. Aresztowany w r. 1878, osadzony w cytadeli warszawskiej redaguje tu „Głos więźnia”. Skazany na bezterminowe osiedlenie na Syberii, umiera w drodze na zsyłkę.
- Pławiński Kazimierz** — brat poprzedniego i towarzysz w pracy ideowej. Aresztowany w r. 1878 przebył w więzieniu z przerwami do r. 1881. W r. 1882 przyjęty na uniwersytet, niebawem wydany na skutek zatargu młodzieży z osławionym kuratorem, Apuchtinem. Wyjeżdża na studia do Genewy, ale nie ukończywszy ich umiera.
- Potocki Antoni** — ur. 1867. Pisarz, krytyk i historyk literatury. Napisał książkę o polskiej literaturze współczesnej i szereg studiów o poszczególnych pisarzach.
- Pozytywizm** — kierunek umysłowy, który rozwinął się w Polsce po powstaniu 1863 r. Przeciwstawiał się on ruchom rewolucyjnym, głosząc hasła tzw. pracy organicznej, podnoszenia dobrobytu i kultury kraju.
- Propagator** — człowiek prowadzący propagandę, czyli namawiający do czegoś. (Błąd w tym zdaniu polega na wadliwym ustawieniu wyrazów. Prawdopodobnie po polsku powiedzieć trzeba: „...zasad pedagogicznych, do których propagatorów śmiałem się zaliczyć.”)
- Protektor** — opiekun.
- Radykalny** — rewolucyjny, zmierzający do zasadniczych, gwałtownych zmian i przewrotów.
- Reński** — pieniądz austriacki.
- Statystyka** — sposób liczbowego traktowania zjawisk życiowych, np. ruchu ludności w miastach lub towarów wywożonych poza granice kraju.
- Sukcesor** — spadkobierca.
- Symbol** — znak, hasło.
- Sympatyk** — przyjaciel, człowiek sprzyjający, okazujący życzliwość.
- Szkoła Główna** — uniwersytet polski czynny w Warszawie w latach 1861—1867.
- Szymański Adam** — 1852—1916. Pisarz. Długoletni sybirak (1877—1894), autor „Szkiców”. Redaktor i wydawca czasopisma „Reforma Szkolna”.
- Węzeł gordyjski** — legendarny węzeł, którego rozwiązanie miało zapewnić temu, kto go dokona, panowanie nad Azją. Aleksander Macedoński po kilku bezowocnych próbach rozwiązania przeciął węzeł mieczem i... zdobył Azję. Powiedzenia tego używa się na oznaczenie sytuacji, kiedy w trudnej sprawie zostaje powzięta szybka i ostateczna decyzja.
- Witkiewicz Stanisław** — 1851—1915. Artysta malarz, literat, krytyk. Autor „Na przełęcz”. Studia malarskie w Petersburgu i w Monachium. Pod koniec życia mieszkał stale w Zakopanem, pracował nad rozwojem stylu zakopiańskiego.
- Wizerunek** — obraz, portret.
- Wojna Krymska** — 1854—1855, toczona przez Rosję z Turcją, której pomagały państwa zachodnie, Francja, Anglia i Piemont.
- Zaliwski Józef** — oficer polski, emigrant po powstaniu listopadowym, który w dwa lata później, w roku 1833, usiłował wzniecić ponownie powstanie. Partyzantka jego skończyła się rychło klęską.
- Zaprawa fizyczna** — wyrobienie sportowe.
- Zlikwidować** — rozwiązać, przerwać, zniweczyć.
- Zsolidaryzowanie** — połączenie, uzgodnienie zapatrywań

II. ŹRÓDŁA

Praca niniejsza została oparta w lwiej części na materiałach rękopiśmieniowych i drukowanych, stanowiących bogatą spuściznę po Promyku i Redakcji „Gazety Świątecznej”. Dzięki niezwykle uprzejmej i życzliwej postawie Rodziny Promyka w osobach p. Wandy Konradowej Prószyńskiej, córki jej, pani Janiny Gulbinowej oraz zięcia, p. Stanisława Gulbina cała ta spuścizna została mi udostępniona.

Zachowały się tam pełne komplety roczników „Gazety Świątecznej”, także pełne komplety wydawnictw naukowych Promyka, olbrzymie ilości listów do redakcji i ogromny zbiór rękopisów, autografów, akt, notat, itp. dokumentów stanowiących bezpośrednio osobiste archiwum Promyka. Wśród nich kilka dokumentów o charakterze autobiograficznym.

Cennego materiału informacyjnego udzieliły mi wywiady przeprowadzone przeze mnie z ludźmi epoki, jak np. z pp. Stefanem Brzezińskim, Maksymilianem Miłgaj Malinowskim, Janem Szymańskim, synem Adama, z wybitnym znawcą zagadnień oświatowych, p. Heleną Radlińską, prof. uniwersytetu łódzkiego itd.

Uzupełnieniem już tylko tych materiałów była literatura drukowana, bądź ogólna jak np. „Dzieje polskiej myśli politycznej” Feldmanna (Warszawa 1933), bądź bardziej szczegółowa, jak „Czerwona Warszawa przed ćwierć wiekiem” Józefa Dąbrowskiego (Grabca, Poznań 1925) itd.

TREŚĆ

Młodość	1
Najlepszy elementarz świata	6
Pisarz Gazety Świątecznej	16
Człowiek	32
Przypisy,	45

Cykl: Polscy działacze społeczni i oświatowi — obejmuje następujące zeszyty:

- | | |
|--|----------------------------------|
| I. Pierwsi działacze polscy na Śląsku | VI. Konrad Prószyński |
| II. Karol Marcinkowski | VII. Franciszek Stefczyk |
| III. Karol Libelt | VIII. Aleksander Janowski |
| IV. Władysław Anczyc | IX. Stefania Sempołowska |
| V. Piotr Wawrzyniak | X. Janusz Korczak |

Ukazały się zeszyty: I, II i VI; inne są w przygotowaniu.

Każdy zeszyt, mimo przynależności do określonego cyklu, stanowi odrębną jednostkę wydawniczą. Dlatego zeszyty będą się ukazywały — każdy osobno. Zapewni to Czytelnikom szybsze otrzymywanie poszczególnych publikacji.

Zeszyty mają okładki tymczasowe. Do każdego cyklu (tomu) przy ostatnim należącym do niego zeszycie — będzie dodawana bezpłatnie okładka trwała z tytułem cyklu.

Wydawnictwo „Wiedza Powszechna” radzi przechowywać starannie każdy zeszyt.

Umożliwi to Czytelnikom skompletowanie kolekcji tomów (cykli), co z kolei doprowadzi do utworzenia zasobnej biblioteki. Biblioteka ta, posiadając rzetelną wartość naukową, będzie przy tym — z uwagi na niską cenę zeszytów — mało kosztowna.

Redakcja i Dział Odpowiedzi „Wiedzy Powszechnej” mieści się w Warszawie, ul. Wiejska 14, tel. 8-66-93.

Administracja Wydawnictwa mieści się w Delegaturze Łódzkiej „Czytelnika” w Łodzi, ul. Piotrkowska 96.

Publikacje Wydawnictwa można nabywać w księgarniach i innych punktach sprzedaży pism i książek. Można także zapisać się na stałego odbiorcę (abonenta); uzyskuje się wtedy zniżkę.

Władze oświatowe, wszystkie szkoły i nauczyciele, organizacje i placówki kulturalne młodzieży oraz pracownicze organizacje zawodowe przy zamówieniach zbiorowych, kierowanych bezpośrednio do Administracji Wydawnictwa, otrzymują rabat zależny od wysokości zamówienia.

Wydawnictwo posiada w P.K.O. konto Nr VII. 4304.

Pełna nazwa konta brzmi: Spółdzielnia Wyd.-Oświat. „Czytelnik”, Delegatura Łódzka, Wydawnictwo „Wiedza Powszechna”, VII. 4304.

Jeśli będą Czytelnikom potrzebne jakieś wyjaśnienia lub wskazówki — prosimy nie czekać, lecz pisać pod adresem: Wydawnictwo „Wiedza Powszechna”, Dział Odpowiedzi, Warszawa, ul. Wiejska 14.

Na każde zapytanie udzielimy chętnie szybkiej odpowiedzi.

Chcemy być pomocni naszym Czytelnikom.

Prosimy o nadsyłanie uwag o poszczególnych zeszytach i o Wydawnictwie.

WYDAWNICTWO POPULARNO-NAUKOWE „WIEDZA Powszechna“

JEST POTRZEBNE

UCZNIOM

różnych szkół,
zwłaszcza gimnazjów dla dorosłych,

SLUCHACZOM

uniwersytetów robotniczych i ludowych,

UCZESTNIKOM

światlic i kół samokształcenia,

SAMOUKOM

kształcącym się indywidualnie.

**POZA TYM „WIEDZA Powszechna“ BĘDZIE MOGŁA
SKUTECZNIE SŁUŻYĆ**

CZYTELNIKOM

posiadającym średnie wykształcenie, jako lektura o rzeczach zapomnianych, a przecież ważnych, ciekawych i potrzebnych.

NAUCZYCIELOM

wszystkich typów szkół,
jako niezbędna lektura podręczna.

STUDENTOM

wyższych zakładów naukowych,
jako lektura informacyjna, zastępująca częściowo notatki.

**„WIEDZA Powszechna“
JEST ŹRÓDŁEM NIEZBĘDNYCH WIADOMOŚCI NAUKOWYCH
DLA KAŻDEGO, KOGO RZECZYWISTE ŻYWO INTERESUJE**

ŚWIAT — CZŁOWIEK — ŻYCIE

Szczegółowy program Wydawnictwa znajdują Czytelnicy w specjalnym prospekcie, który można nabyć w księgarniach, biurach władz szkolnych, w szkołach oraz w organizacjach młodzieży i zawodowych.

